Nr. 9. R. XIV. W Tarnowie, 5 go stycznia 1910. **Tom XV.**

DWUTYGODNIK
katechetyczny i duszpasterski

wychodzi 5-go i 20-go każdego miesiąca, wyjąwszy wakacyi.

Prenumerata wynosi:
Półrocznie t. j.
od 1 września do 31 stycznia 5 K.
Całorocznie t. j.
od 1 września do 30 czerwca 10 „
Za granicą półrocznie . . 6 „
„ całorocznie . . 12 „
Numer jeden 70 h.

Inseraty, odpowiadające treści pisma, płatne z góry, po 20 hal. od wiersza petit.

Reklamacye wolne są od opłaty pocztowej. Uwzględnione być jednak mogą tylko do dni 14 po wyjściu numeru.

W Kongresówce i na Litwie półrocznie 3 R., całorocznie 6 R.

Adres Redakcyi i Administracyi: Tarnów, ul. Przecznica Różana l. 3.

„In necessariis unitas, in dubiis libertas, in omnibus charitas".

O metodzie „naukowej" Darwina niemieckiego.

(C. d.). Przejdźmy teraz do dowodów pozytywnych, którymi stara się Haeckel uzasadnić swój monizm materyalistyczny. I tutaj posługuje się metodą ignorancyi lub przekręcania faktów i napaści osobistych. Za podstawę swej monistycznej filozofii uważa H. jedno, względnie dwa prawa fizykalne: t. zw. prawo substancyi, jednoczące w sobie prawo zachowania energii i prawo zachowania materyi. Dwa te prawa, to dwie różne strony tego samego kosmosu, w którym żadna cząstka materyi, żadna siła nie ginie ani powstaje z niczego, a atomy już w najprostszej formie posiadają duszę, względnie: czucie i wolę. Do oceny podstaw fizykalnych w systemie haecklowskim zabrał się znany w kołach uczonych Chwolson, prof. fizyki w uniwersytecie petersburskim, — i jakiż sąd wydał? Oto rezultat, do którego dochodzi w broszurze „Hegel, Haeckel, Kossuth und das 12 Gebot" (Braunschweig 1906). „Wszystko, ale bez przesady wszystko, co Haeckel, potrącając o zagadnienia fizykalne, mówi, objaśnia i potwierdza, jest fałszem i polega na nieporozumieniu, albo świadczy o trudnej do uwierzenia nieznajomości najbardziej elementarnych kwestyj. Nawet o prawie substancyi, które uważa za gwiazdę przewodnią swej filozofii, nie posiada naj-

mniejszego pojęcia. I uzbrojony w takie zupełne nieuctwo, przypuszcza, że to jest możliwe, ażeby fundament nowoczesnej fizyki, kinetyczną teoryę substancyi, określić jako „niedającą się utrzymać“ i twierdzić, że jedną z największych zdobyczy ducha ludzkiego, prawo entropii, albo drugie główne zdanie termodynamiki trzeba „zawiesić“... Die Welträtsel Haeckla są typowym przykładem dzieł, których autorowie lekceważą sobie dwunaste przykazanie: „Nie będziesz nigdy pisał o rzeczach, których nie rozumiesz“. Z niecierpliwością oczekiwano, czy i co H. powie na swoją obronę. Jakoż ukazała się odpowiedź w piśmie „Monismus und Naturgezetz“, ale powszechnie uznaną została za niewystarczającą i bezsilną. Trudno bowiem zadowolić się tłómaczeniem Haeckla, że w dziedzinie fizyki i chemii i w wielu innych naukach przyrodniczych nie rości sobie pretensyi do większej znajomości nad tę, jaką daje gimnazyalne i akademickie wykształcenie — a jeszcze trudniej zadowolić się takim kwiatkiem obrony, jak następujące powiedzenie pod adresem Chwolsona: „Ten dureń zarozumiały przypuszcza, że jest największym fizykiem współczesnym“. Obok Chwolsona i inny wielki fizyk, Anglik Oliver Lodge, w pracy o „życiu i materyi“ wydał również bardzo ujemny sąd o wiadomościach Haeckla z zakresu fizyki i w ogóle o całym jego systemie materyalistycznym.

Kruche są więc podstawy monizmu haecklowskiego, lecz kruche są też i bez wartości dowody, którymi się zasłania, a które czerpie głównie z biologii i z nauk pokrewnych. Zdawałoby się, że przynajmniej w tej dziedzinie, w której Haeckel jest „fachowcem“, okaże się godnym zaufania, — niestety, rzecz się ma inaczej. W mowie, którą wygłosił w Izbie Panów dnia 10/5 1907 prof. i sławny botanik Reinke przeciw Związkowi monistów (założonemu w r. 1906 dla propagandy haecklizmu), wyraził się o Haecklu jako biologu w ten sposób: „Nie mogę się powstrzymać od wypowiedzenia zdania, że biologiczna treść Welträsel nie ma wcale charakteru naukowego, podobnie jak fizykalna, teologiczna i filozoficzna, mimo, że H. jest profesorem na jednym z uniwersytetów niem. Bezkrytycznie bowiem miesza to, co pewne i dowiedzione z tem, co niedowiedzione, i przez to wywołuje tylko zamieszanie w głowach czytelników. Tym brakiem krytycyzmu sam się wyłącza z grona poważnych przyrodników i zostaje tylko Haeckel — fanatyk, który przy pomocy

Związku monistów stara się zapanować nad umysłami. O nauce i naukowości mowy tu niema".[1])

Inny wielki botanik, Wiesner pisał między innemi w wiedeńskiej Zeit 4/3 1908 o nowej książce Haeckla: „Das Menschenproblem und die Herrentiere von Linné" te słowa: „W tej nowej książce powtarza H. prawie tosamo, co już lekkomyślnie podał do wiadomości ogółu w swych Welträtsel i Lebenswunder, na wstyd wszystkich poważnych biologów. Niezmiernie trudne zagadnienia życia, jak: początek i powstanie pierwszych jestestw żyjących i ich dalszy rozwój aż do człowieka, traktuje H. wprost po żakowsku, kierując się przy rozwiązywaniu nie danemi doświadczeniami, lecz wpływem fantazyi".

Na potwierdzenie tych słów Reinkego i Wiesnera, którym przytakuje wielu innych, może posłużyć cały szereg przykładów. A najpierw hypoteza bezkształtnych „moner", nie zgadzająca się ani z faktami, ani z zasadami biologii, hypoteza postawiona i broniona przez Haeckla w tym jedynie celu, aby mieć istoty przejściowe od nieorganicznych do organicznych. Jak mało w tej kwestyi okazał Haeckel zmysłu naukowego, dowodem może być t. zw. Bathybius Haeckelii. W r. 1868 odkrył Huxley w głębi morskiej masę galaretowatą, w której uznał długo poszukiwaną formę przejściową od jestestw żyjących do nieżyjących i na cześć Haeckla nazwał ją Bathybius Haeckelii. Z okazyi tej pisał z tryumfem Haeckel: Teraz już jesteśmy w stanie wytłómaczyć czynnikami materyalnymi tajemnicę zjawisk życiowych; właściwą ich przyczyną są mnogie i skomplikowane fizykalne i chemiczne własności ciałek białkowatych. Wkrótce jednak pokazało się — co sam odkrywca po dokładniejszem badaniu przyznał — że ten Bathybius nie jest wcale organizmem żyjącym, lecz... osadem gipsowym.

Na potwierdzenie słów Reinkego, Wiesnera i wielu innych może posłużyć dalej t. zw. prawo biogenetyczne. Zaimponował niem H. niektórym, chyba dlatego, że nazwał je z grecka i wyraził terminami greckimi: ontogeneza jest palingenezą filogenezy, co ma oznaczać, że rozwój osobnika w zarodku jest skróconem i przyspieszonem powtórzeniem rozwoju całego gatunku. Nie mówiąc o innych przyrodnikach, którzy przy tem prawie

[1]) Por. całą mowę w broszurze *Reinkego*: Haeckels-Monismus und seine Freunde, a nadto inne prace, jak: Die Welt als Tat; Einleitung in die theoret. Biologie, die Philosophie der Botanik, Naturwissenschaft und Religion, Die Natur und wir.

postawili wielki pytajnik, sam Haeckel uznał za konieczne dodać palingenezie cenogenezę (??), przez którą rozumie wypadki niestosowania się przyrody do jego prawa, a Spitzer, choć sam darwinista, zauważa, że cenogeneza stanowi raczej regułę, zaś palingeneza należy do wyjątków.

Jak małą jest wiarogodność Haeckla, mogą być dalej dowodem konstruowane przezeń drzewa rodowe człowieka. Dla Haeckla jest pochodzenie człowieka od małpy faktem historycznym, stwierdzonym między innemi przez odkrycie małpoluda, dokonane na Jawie w r. 1894, jest faktem, który upoważnia najzupełniej do ułożenia całkowitego rodowodu człowieka od najniższych pierwotniaków. Tymczasem, co się tyczy owego małpoluda jawańskiego (pithecanthropus'erectus), to prof. Adickes (w książce: Kant contra Haeckel) tak się wyraża o twierdzeniu Haeckla: Trudno nie oburzyć się wobec postępowania Haeckla, który pełnemi garściami rzuca prochem w oczy czytelników. Z relacyi Haeckla wynikałoby, że na Jawie znaleziono naprawdę całego skamieniałego małpo-człowieka, a tu chodzi tylko o czaszkę, ząb trzonowy i kość udową, co do których niewiadomo, czy należą do jednego osobnika, a co ważniejsze, zdaniem wielu bezstronnych badaczy, czaszka jest małpią". Co się tyczy znowu „drzew genealogicznych", (w których pierwsze miejsce zajmują bezkształtne, potem jednokomórkowe monery, a ostatnie: małpiatki, małpy, pawianowate, ludomałpy, małpoludy i wreszcie ludzie mówiący) — to już Virchow zcharakteryzował je jako twory fantazyi, a Du Bois-Reymond porównał z genealogią bohaterów homerowskich. Kiedy w jednym z odczytów berlińskich (r. 1907) na temat ewolucyonizmu, skrytykował Wasmann ostro drzewo genealogiczne człowieka, wymyślone przez Haeckla, ujął się za krytykowanym długoletni jego asystent Dr. Schmidt i wyjaśnił, że drzewa genealogiczne Haeckla należy brać za skromne, hypotetyczne próby, nie za całkowitą prawdę. Na to odczytał Wasmann wyjątek z pisma Haeckla, gdzie wyraźnie jedność gatunkowa rzędu naczelnych od najniższych lemurów do człowieka uznana jest za fakt historyczny. Czyż to nie jest naprawdę tumanieniem ludzi w imię biologii? Najlepszą wreszcie illustracyą dotychczasowych uwag o metodzie Haeckla może być „historya trzech klisz". Ażeby „udowodnić", że niema różnicy między jajami człowieka, psa i małpy, jeszcze w r. 1868 w I. wydaniu: „Natürliche Schöpfungsgeschichle", na str. 242 odbił H. trzy fotografie jedną kliszą. Taksamo zrobił na str. 248 z zarodkami psa, kury i żółwia. Na szczęście znaleźli się uczeni, najpierw

Rütimeyer (w r. 1868), nieco później (1874) His, anatom lipski, którzy wykryli oszustwo i ostro zganili takie postępowanie, niegodne uczonego i nauki. Ten ostatni, który odkrył w pismach Haeckla wiele innych jeszcze zmyślonych fotografij, pisał w swem dziele „Unsere Körperform und das physiologische Problem ihrer Entstehung“: „Wyrosłem w tem przekonaniu, że wśród kwalifikacyj przyrodnika najniezbędniejszą jest ta, żeby na faktach się opierał i z nimi bezwarunkowo liczył. I dziś mam to przekonanie, że gdzie brak tej kwalifikacyi, tam wszystkie inne mało znaczą. Wobec tego mogą niektórzy wielbić w Haecklu czynnego i dzielnego przywódcę; według mego zdania swym sposobem walki stracił prawo, żeby go zaliczać do prawdziwych uczonych“.

Jakiś czas zbywał H. podniesione zarzuty różnymi wykrętami. Wreszcie w r. 1891 w dodatku apologetycznym 4 wydania Anthropogenie wyznał z żalem, że dając trzy odbicia jedną kliszą popełnił wielkie głupstwo, a w sprawie fotografij embryonów tłómaczył się His'owi, że to były nie rzeczywiste, lecz schematyczne obrazki, które i w dziełach innych przyrodników spotkać można. Zapomniał jednak dodać, że inni przyrodnicy, podając przypuszczalne obrazki zarodków, zawiadamiają zarazem o tem, aby w błąd nie wprowadzać czytelników. To też mało kto mógł się zadowolić tłómaczeniem Haeckla, a już nikt się nie spodziewał, żeby sprawa tego rodzaju miała się kiedykolwiek powtórzyć.

Tymczasem, wbrew wszelkim przypuszczeniom, okazała się naprawdę potrzeba ponownego wystąpienia przeciw fałszerstwom Haeckla. Uczynił to w r. 1908 zoolog Dr. Brass, jeden z bardzo czynnych członków „Związku Keplera“, założonego w r. 1907, o programie, przeciwnym Związkowi monistów.

W pracy polemicznej „Das Affenproblem“ wykazuje, że H. dopuścił się znowu całego szeregu fałszerstw w reprodukcyach embryonów ludzkich i małpich, aby dosadniej zaznaczyć ich wspólne pochodzenie. Jak daleko posunął się w tym względzie, może być np. dowodem, że ludzki embryon obdarzył 44 kręgami, zamiast 33, w tym jedynie celu, aby go uczynić podobniejszym do zwierzęcego. To znowu dla tego samego celu małpę ogoniastą pozbawił ogona, i tak coś w 40 reprodukcyach okazał się fałszerzem. Niedługo kazał H. czekać na odpowiedź, którą umieścił w socyalistycznej Berliner-Volks-Zeitung pod tyt. „Fälschungen der Wissenschaft“. Pomijając liczne wymyślania pod adresem Brassa i Związku keplerowskiego, znajdujemy przy

końcu takie słowa: „Aby krótko załatwić się z całą tą sprawą, pragnę zaraz z początku powiedzieć otwarcie, że nieliczna część moich fotografij (może 6 do 8 na sto) jest rzeczywiście „sfałszowana“ w tem znaczeniu, o jakiem mówi Brass, a mianowicie te, przy których z powodu braku materyału doświadczalnego okazała się potrzeba uzupełnienia luk przez hypotezy i konstruowanie brakujących członów na podstawie syntezy porównawczej“. Znaczyłoby to innemi słowy, że fotografie Haeckla uważać należy za próbne schematy, które i u innych spotkać można, jak dalej broni się sam Haeckel. Atoli przeciw takiej obronie przypomnieć jeszcze raz musimy, że prawdziwi uczeni przy fotografiach, jakie podają, zaznaczać zwykli, czy są zgodne z rzeczywistością, czy też tylko przypuszczalne, a co ważniejsza, zarzuty Brass'a nie dotyczą tylko schematycznych próbnych obrazów Haeckla, ale i rzeczywistych, które zostały umyślnie i tendencyjnie sfałszowane, i to w liczbie nie 6 do 8, co do których sam H. przyznaje oszustwo, lecz w liczbie daleko pokaźniejszej.

W sporze Brassa z Haecklem wystąpiło w obronie drugiego 46 przyrodników, którzy w „Vossische Zeitung“ ogłosili protest tej treści, że „wprawdzie nie pochwalają metody, stosowanej przez Haeckla w kilku wypadkach przy układaniu schematów, ale z drugiej strony, w interesie wiedzy i wolności nauki potępić muszą surowo sposób walki, prowadzonej przez Związek keplerowski i przez Brass'a z Haecklem; zarazem dodają, że idea ewolucyi, która znajduje swój wyraz w teoryi descendencyi, nic a nic nie traci na wartości przez kilka podrobionych fotografij embryonów“.

Czy naprawdę tym protestem uratowany został honor Haeckla jako uczonego, można mieć poważne wątpliwości. Przedewszystkiem wśród onych 46 podpisów znajdujemy co najwyżej 10 nazwisk wybitniejszych uczonych, podczas gdy Związek Keplera, do którego i Brass należy, liczy przeszło 5.000 członków, a wśród nich bardzo pokaźną liczbę stanowią przyrodnicy. Powtóre treść tego protestu jest bardzo bałamutna i wyraźnie stronnicza, tak, że wielu uczonych, nie należących nawet do Związku Keplera, uznało za stosowne wystąpić publicznie w jego obronie. I zaiste trudno np. zrozumieć ostatnie zdanie onych „46“, wyrażające zapatrywanie, jakoby walka przeciw Haecklowi była walką przeciw teoryi rozwoju, a jeszcze trudniej zrozumieć potępianie Brass'a i Związku Keplera w imię interesu wiedzy i wolności nauki. Wszak sami podpisani nie pochwalają „fałszerstw Haeckla“, — wobec tego nie potępienie, ale raczej

wdzięczność należy się Brassowi, że je odkrył i w należytem przedstawił świetle. Czyż interes nauki nie domaga się raczej swobodnej dyskusyi, aby prawda stała się jaśniejszą? Czyż wolność nauki nie domaga się raczej swobodnego wypowiedzenia swego zdania, choćby ono nawet było mylnem? Jedno tylko tutaj da się łatwo zrozumieć, że musi źle być z uczonością Haeckla i jego monizmu, gdy do ich obrony potrzeba takich manifestów, jak wspomniany. I rzeczywiście, jeżeli niemal wszystkie szczegóły, wciągnięte przez Haeckla do swego systemu z rozmaitych nauk, spotkały się ze surową krytyką przyrodników,[1]) to znowu cały system potępili ostro filozofowie. Nie mówiąc o katolickich[2]), możemy przytoczyć wybitnych filozof. protestanckich, że wymienię Paulsena, Hartmanna, Adickesa i Wundta, którzy wydali bardzo ujemny sąd o Haecklu i jego monizmie.

(D. n.).

Ks. Dr. A. Macko.

Duchowieństwo według „Galicyi" Fr. Bujaka.

„Będąc stanowczym przeciwnikiem klerykalizmu i jego rządów, można być jednak gorącym zwolennikiem pracy duchowieństwa nad rozwojem gospodarczym ludu wiejskiego i miejskiego ze względu na szybkie powodzenie ruchu asocyacyjnego. Korzyść bowiem społeczna ztąd płynąca jest bez porównania większa, niż strata przez niebezpieczeństwo przewagi kleru w życiu politycznem kraju.... Zresztą jeżeli kierunek szkoły ludowej i oświaty pozaszkolnej i nadal zostanie niezmieniony, a oświata w ogóle będzie wzrastać, niebezpieczeństwo klerykalizmu nie będzie groźne".

Cenne to wyznania, choć nie brak w nich bałamuctw. Jeżli autor przez klerykalizm rozumie rządy księży w polityce, zapytujemy go: gdzie dziś w Europie, a nawet w całym świecie

[1]) Por. Dennerta Die Wahrheit über E. Haeckel; rozdz. IV., VI., VII., X., XIII.

[2]) Por. Tilm. *Pescha:* Welträtsel II.; *Gutberleta:* Apologetik I. i Der Mensch; *Brander'a:* Der naturalistische Monismus der Neuzeit oder Haeckels Weltanschauung; *Ude'go:* Monistische — oder teleologische Weltanschauung?; *Haserta:* Antworten der Natur, *Kurt Udeis'a:* Hie Haeckelismus — hie Christenthum (w Bonifatius-Correspondenz 1908 i 1909) itd.

katolickim, klerykalizm taki naprawdę istnieje lub na seryo powstać usiłuje? Niemasz go w Belgii, gdzie rząd jest katolicki, niemasz go w „centrum“ niemieckiem, niemasz w stronnictwie chrześcijańsko-socyalnem Luegera, niemasz go... nigdzie i nigdzie księża o nim nie marzą. Nie usuwają się oczywiście od prawa posłowania czynnego i biernego, bo stan tak ważny nie powinien zostać bez reprezentacyi, bo ciała prawodawcze tworzą wiele ustaw, dotyczących życia religijnego, ale o jakiejś przewadze księży na tem polu, faktycznej czy usiłowanej, nie może być mowy. Owszem we wielu krajach duchowieństwo katolickie, dlatego tylko że jest katolickiem, doznaje ograniczenia swych praw obywatelskich i staje się przedmiotem ustawicznych napaści i prześladowań w parlamentach, w prasie, na deskach teatralnych, na zgromadzeniach publicznych itp. Napaści usprawiedliwia się odwetem za inkwizycyę, Galileusza itp. sprawy z przed dwustu lat, za które nikt z żyjących nie jest przecież odpowiedzialnym, a jeźli trzeba, fabrykuje się Barbarę Ubryk, ks. Wróblewskiego lub coś podobnego. Może przeto autor bez żadnych zastrzeżeń zgodzić się na współdziałanie duchowieństwa w pracy społecznej, może być nawet pewnym, że współdziałanie to, jak powstało przed nim i bez niego, tak i po jego najdłuższem życiu i bez pomocy Wszechpolaków trwać i rozwijać się będzie, bo wynika z ducha chrystyanizmu. Cennem jest natomiast wyznanie, czego autor oczekuje w przyszłości po obecnym „międzywyznaniowym“ kierunku „szkoły ludowej i oświaty pozaszkolnej“. Jakiem czołem jednak panowie tacy przy innych okazyach za upadek wiary i religijno-moralnego życia wśród młodzieży składają winę głównie na..... katechetów? Bądźmyż wreszcie szczerymi, bo tylko szczere postępowanie zdoła obudzić zaufanie i znaleźć grunt wspólny do pracy nad rozwojem drogiej nam Ojczyzny. W tym wypadku autor zasługuje na uznanie za szczerość.

Obszernie i sympatycznie przedstawia autor następnie społeczną działalność ks. A. Tyczyńskiego, proboszcza w Albigowej od r. 1885. Utrzymuje, że „niemal każdy (?)[1]) ksiądz mógłby bez trudu (?) w ciągu kilku lat (?) do podobnych doprowadzić rezultatów, gdyby tylko miał *przygotowanie odpowiedne*[2]) i podnietę z góry do wytrwałej pracy, gdyby tę *pracę* jego *przełożeni cenili*[3]) i uznawali. Zapytuje potem: „Czy podobnych księży jest więcej w Galicyi“?—i odpowiada: „Są, ale niestety bardzo

[1]) Pytajniki i wykrzykniki tu i w innych miejscach przytoczonych są przez nas dodane. (Dop. Red.). [2]) i [3]) Podkreślenia p. Bujaka.

nieliczni. W każdym razie duchowieństwo poczuwa się do obowiązku pracy nad podniesieniem ekonomicznem ludu i *zaczyna* działać. Spółki rajfeisenowskie w większości zostały założone i są prowadzone przy współudziale duchowieństwa, również i Kółka rolnicze w znacznej części duchowieństwu zawdzięczają tę skromną dozę żywotności, którą okazują. W ogóle duchowieństwo ruskie więcej pracuje dla ludu niż polskie... Z polskiego duchowieństwa daleko ruchliwsze jest duchowieństwo w dyecezyi lwowskiej i przemyskiej, niż w tarnowskiej i krakowskiej. *Najmniej kulturalne* i najmniej ludowi oddane jest *duchowieństwo dyecezyi tarnowskiej*, na co już sama jego *brutalność* w walce ze stronnictwem ludowem wskazuje, choć i tutaj z pomiędzy *młodszych* zaznacza się *kilka* dzielnych jednostek, chętnych do pracy, ze starszych zaś wymienić należy ks. Siemieńskiego ze Szynwałdu".

O pracy społecznej duchowieństwa w dyecezyi pomówimy osobno. Na razie stwierdzamy, że autora unosi widać temperament stronniczy i pobudza do twierdzeń sprzecznych. Jeźli bowiem prawdą jest, co napisał, a co wynika zresztą ze sprawozdań publicznych, że Spółki rajfeisenowskie w większości zostały *założone* przy współudziale duchowieństwa, to nie jest prawdą, że duchowieństwo (jak twierdzi autor) dopiero teraz *zaczyna* działać.

Z uznaniem wyraża się autor o „nastroju" społecznym Najprzew. JX. Arcyb. Bilczewskiego i Biskupa Pelczara i dodaje: „We Lwowie pomyślano już nawet o wprowadzeniu do seminaryów duchownych nauki o asocyacyach rolniczych i to zarówno w seminaryum polskiem jak i ruskiem. Potrzebę zaprowadzenia takich wykładów na stałe we wszystkich seminaryach duchownych przypominało krakowskie tow. rolnicze z inicyatywy dra A. Krzyżanowskiego, jak dotąd, zdaje się, bezkutecznie". W uwadze na dole czytamy: „W r. 1906 odbył się w Tarnowie krótki kurs asocyacyi rolniczej (5 wykładów) dla alumnów tamtejszego seminaryum duchownego".

Wreszcie dochodzi autor do konkluzyi, stawia horoskopy na przyszłość i w dziele *naukowem* nie cofa się nawet przed ubliżającemi... *insynuacyami*. Oto jego słowa[1]):

„Obecnie istnieje (?) nawet niebezpieczeństwo, że duchowieństwo w zachodniej Galicyi nie pójdzie (?) tą drogą solidnej pracy nad podniesieniem ludu do wzmocnienia swego wpływu politycznego (!), ale korzystając z nagłej zmiany sytuacyi politycznej w kraju przez reformę wyborczą państwową, zdążać

zechce (?) do tego wpływu na przełaj prostszą i łatwiejszą drogą agitacyi czysto-politycznej (?), drogą przelicytowania (sic!) przeciwników w obietnicach i radykalnym (sic!) frazesie. Słowem, zachodzi (?) obawa, że działalność polityczna duchowieństwa pod firmą *centrum ludowego* będzie przeważnie kontynuacyą dotychczasowych akcyi politycznych (czyich?) wśród ludu, że w pospiesznem, egoistycznem (sic!) dążeniu (?) do władzy duchowieństwo nie będzie miało dosyć sił i czasu dbać o potrzeby kulturalne i ekonomiczne ludu, a zbywać go będzie frazesem (?) i pięknym programem"!

Zapytujemy: Na jakich danych oparł autor ten horoskop? Czem udowadnia zarzuty tak ubliżające, każdemu człowiekowi, tembardziej kapłanom? Dowodów nie przytacza — a zatem nie jest to nic innego jak animozya partyjna, nie cofająca się nawet przed krzywdzącemi insynuacyami, przed *obelgami!* Czyż duchowni, czyż nie Wszechpolacy, ludowcy i socyaliści agitowali za powszechnymi, jawnymi, równymi i bezpośrednimi wyborami do parlamentu? Czyż duchowni, a nie stronnictwa wspomniane, agitują obecnie za podobnymi wyborami do Sejmu? Czyż duchowni obiecywali i obiecują ludowi, że wybory takie wszystko złe wyleczą i raj na ziemię sprowadzą? Czyż duchowni starali się kiedykolwiek [1]) „przelicytować przeciwników w obietnicach i w radykalnym frazesie"? Moglibyśmy snadnie odwrócić ten zarzut i przypomnieć maksymę, że każdy według siebie sądzi, ale nie chcemy odpłacać pięknem za nadobne. Zapytujemy tylko: Czem sobie duchowieństwo zachodniej Galicyi zasłużyło na podobne obelgi? Czy tem, że przy ostatnich wyborach do parlamentu przeparło wielu księży pod firmą centrum? Był to błąd niewątpliwie, spowodowany brakiem kandydatów stosownych, ale już prawdopodobnie się nie powtórzy. Zresztą posłowie-księża nie myślą wcale o jakiemś przewodzeniu w Kole Polskiem lub w kraju; pracują cicho i bez zarzutu. Czy zasłużyli na potępienie tem, że w akcyi społecznej nie idą ślepo pod komendę Wszechpolaków czy ludowców, lecz patrzą im na palce i wertują każdą książeczkę z biblioteczek T. S. L, zanim ją zalecą ludowi? Czy ma to dowodzić mniejszego stopnia kulturalności? Chyba przeciwnie. Krytyka spokojna i to raczej bierna niż publiczna, nie powinna nikogo obrażać, zwłaszcza że smutne

[1]) Abstrahujemy tu od wystąpień X. Stojałowskiego, bo nie ma on kontaktu z ogółem duchowieństwa i występuje oddawna na własną rękę. (Dop. Red.).

doświadczenie nie pozwala wierzyć na ślepo. Spróbujcie jednak, Panowie, oprzeć się w akcyi społecznej szczerze na zasadach chrześcijańskich, pozwólcie, by — o ile to od was zależy — Chrystus zapanował w duszy i w życiu jednostek, rodziny, szkoły, gminy, kraju, narodu, państwa, a my kapłani będziemy najgorliwszymi sługami waszymi. Nie dla oklasków waszych, nie dla celów partyjnych — dla Chrystusa, dla zbawienia dusz, dla odrodzenia Ojczyzny pracujemy i gotowi jesteśmy się poświęcić; chciejcie to zrozumieć i uwzględnić, a będzie zgoda między nami. (D. n.).

Ad Patres.

(Dok.). *Pisarze Kościoła, to przeważnie ludzie dużego wykształcenia i wielkiej inteligencyi.* Jedni wyszli z uczelni pogańskich, uzbrojeni w naukę retorów i filozofów, inni wychowali się w wyższych zakładach naukowych, albo zajmowali stanowiska takie, dla których wtedy wymagano wysokiego stopnia kultury umysłowej. To też pisma ich na każdym prawie kroku wykazują gruntowną znajomość pogańskiej filozofii i literatury, a przedewszystkiem podziwu godną znajomość Pisma św., jaka dziś jest rzadkością. Wzniosłe ich umysły umiały opanować materyał wszechstronnie. Mądrość świecka i chrześcijańska, przez nich uprawiane, nie były dla nich dwoma biegunami, którychby nie umieli zbliżyć do siebie, owszem, dziwnie szczęśliwie zdołali oni wyłączyć, oddzielić, odstawić na boki to jedynie, co u pogan było antichrześcijańskiem, a to, co było dobre, z czego można było korzystać, podnieśli na wyższy stopień prawdy idealnej, na wszystkiem wyciskając pieczęć prawdziwie chrześcijańskiej mądrości.

Jądro Pisma św. stanowi prawda, pochodząca z bezpośredniego objawienia Bożego. Obok tego Pismo św. mówi jednak i o rzeczach naturalnych. Podobnie dzieła Ojców naprzód i przedewszystkiem zawierają naukę objawioną; nie pomijają jednak w swych wywodach i dróg naturalnych, któremi szła także prawda Boża i idzie. W ten sposób wytworzyli Ojcowie naukową syntezę natury z tem, co jest nadnaturalne, i stali się twórcami nauki i umiejętności chrześcijańskiej. Ich nauka u najlepszych ich przedstawicieli pod formalnym względem nie ustępuje wcale najlepszym wrozom nauki Greków i Rzymian, a co do treści, o całe niebo je przewyższa.

Ojcowie są nadto twórcami prawie wszystkich nauk teologicznych. Dla bezpośrednich celów praktyki chrześcijańskiej potrzebna była naprzód gruntowna znajomość Pisma św., które *całe* czytywano i tłómaczono. Stąd liczne homilie do całego prawie Pisma św., stąd dla naukowego przygotowania katechetów i kaznodziei one szkoły katechetyczne, z *Pismem św.* jako głównym przedmiotem. Któż nie zna ozdób szkoły aleksandryjskiej: takiego Oryginesa, Cyrylla aleksandryjskiego, Bazylego i Grzegorzów? — i antyocheńskiej: Theodora z Mopsuestyi, Teodoreta i Jana Złotoustego, a wkońcu Hieronima i Augustyna? Każde prawie ich dzieło to monumentum aere perennius, a niektóre dziś jeszcze są nieprześcignione. Nowoczesna biblistyka ma więcej od nich filologii i krytyki historycznej, ale o wiele mniej ducha i oryginalności. Nawet pomocnicze nauki biblijne nie bez powodzenia Ojcowie uprawiali.

Apologetykę obrabiano bardzo wcześnie, naprzód przeciw poganom i żydom, a potem w obronie prawdy katolickiej przed heretykami; mistrzem został tu Augustyn przez swoją Civitas Dei. On z Oryginesem, zaliczany do największych umysłów starożytności chrześcijańskiej, był zarazem najlepszym *dogmatystą.* Teologię *moralną* traktowano przeważnie w monografiach; Ambroży pierwszy dał próbę systematycznego jej opracowania. Twórcą *katechetyki* jest Augustyn, będąc zarazem największym mowcą łacińskim, jakim u Greków jest Chryzostom. *Historya kościelna* Euzebiusza zowie swym ojcem, za którego śladem poszedł cały szereg pisarzy. Szczególnie ciekawą gałąź patrystycznej literatury przedstawiają *listy* o najrozmaitszych sprawach, zwłaszcza Cypryana, Hieronima, Augustyna i kilku papieży.

Powie ktoś na to, że *studyum Ojców nie jest na czasie, wobec ogromnych postępów, które poczyniły nauki, zwłaszcza* t. zw. pozytywne, *za naszych dni*, tak pod względem objętości, jakoteż i metody i ściśle naukowego charakteru. U Ojców zaś brak tego. W rzeczy samej posiadamy we wszystkich działach literatury teologicznej dzieła systematyczne i zbiorowe, które pod względem wyłącznie naukowym, przewyższają dzieła Ojców. Ale też za to, co ze szczególnym podnieść należy naciskiem, *Ojcowie posiadają coś, czego niema w naszej nowoczesnej nauce.* Tą zaletą, o którą nam przedewszystkiem chodzi, i dla której te myśli na papier rzuciliśmy, jest ów *ton ciepły i pełen zbudowania*, który kształcąc umysł, *równocześnie do serca przemawia, rozgrzewa je i dobre budzi postanowienia.* Słowa

Ojców, podobnie jak Słowa Chrystusa Pana, są „spiritus et vita". Zdaje się zawsze, że Ojcowie, ile razy do nas przemawiają, przyobleczeni są „virtute ex alto": przejęli się do szpiku kości Chrystusem Panem i z tem przejęciem mówią, uczą, karcą, pocieszają, porywają; niemasz w nich chorobliwej przewagi intellektualizmu.

Dawni chrześcijanie niezawsze byli moralnie tak doskonałymi, żeby ich można, jak się to często dzieje, bezwzględnie i we wszystkiem stawiać za wzór do naśladowania i za temat ku zawstydzeniu dzisiejszych stosunków religijno-obyczajowych. Za to byli oni gorliwszymi, mieli wiarę żywszą, gorętszą, posiadali więcej świętego zapału dla sprawy Bożej i raźniej dali się zapalić do ideałów chrześcijańskich. Tensam duch ożywia Ojców. Dlatego ich pisma nie są suche, martwe i trzeźwe, obliczone tylko na rozum, jakim często jest literacki dorobek czasów późniejszych. Wystarczy tylko przeczytać jedno lub drugie dzieło św. Augustyna, a potem kilka ustępów nawet takiej Summy św. Tomasza, albo doctrina Christiana i de catechizandis rudibus św. Augustyna, a po niej przeglądnąć nowoczesny podręcznik hermeneutyki czy katechetyki, aby się o tej różnicy dobitnie przekonać. Pisma Ojców chwytają nas za serce, uwzględniają człowieka *całego*, scholastyczna zaś i nowoczesna nauka zbytni nacisk kładzie na kształcenie rozumu.

Dalej dzieła Ojców, przynajmniej znaczniejszych, odznaczają się *oryginalnością w pomysłach, w wyrażaniu się i przedstawianiu przedmiotu*. Czytając Ojców, nie spotka się na każdym kroku rzeczy już znanych, powtórzonych kilkakrotnie, wypowiedzianych po nie wiem ile razy przez innych autorów.[1]) Tam rzeczy przedstawione są świeżo, rzutko, bezpośrednio, z zacięciem indywidualnem. Lektura taka nie wywoła nudów, przesytu, odrazy. A choćby materyalny rezultat wiedzy i wiadomości takiej lektury nie był wielki, to przecież zwykłe prawdy poznało się ze strony żywej, ciekawej. A ile to u nas znaczy! Dzisiejsi autorowie nie są oryginalnymi, bo nawet nimi często być nie chcą, przynajmniej na ogół rzecz biorąc. Co się odziedziczyło po przeszłości, to chce się starannie przechować, opracowując tematy dawno opracowane pod inną formą. Gdyby większa część naszych niezliczonych podręczników dogmatyki, moralnej

---

[1]) O. Hurter, zalecając słynną maksymę „timeo unius libri lectorem", zwykł był mawiać, że czytając jednego nowoczesnego autora, czyta się z 20 innych, z których tamten czerpał, chcąc być „źródłowym".

i filozofii zaginęła, to strata owa dałaby się znieść wcale dobrze. Ale zaginięcie jednego przedniejszego dzieła Ojców byłaby stratą niepowetowaną.

Wobec tych i wielu innych zalet dzieł patrystycznych, wszystkim teologom opłaci się sowicie intenzywne studyum Ojców. Korzyści wielkie spłynęłyby stąd na wiedzę, na życie i na działalność całą. Ogień, który Pan Jezus z nieba przyniósł, i chce, aby się palił, zamknięty niejako w pismach Ojców, wybuchłby niezawodnie żywszym płomieniem, oświecałby i rozgrzewał ciemności i lodowatą obojętność doby dzisiejszej, i ogarnąłby z czasem i ludzi świeckich. Ojcowie także nie chadzali po wygodnych i równych gościńcach, lecz musieli nieraz dopiero karczować lasy przesądów, błędu i złości, a przecież doprowadzili chrześcijaństwo do zwycięztwa nad mocami pogaństwa i herezyi, i zaszczepili je w sercach niezliczonej liczby ludzi. Stosunki, wśród których żyli i pracowali, nieraz podobne są bardzo do tych, wśród których nam żyć wypada: i nas nic innego do zwycięztwa nie poprowadzi, jak tylko wiara oświecona, gorąca i żywa. Wiara zaś taka w pismach Ojców znajdzie pokarm obfity, silny i zdrowy.

Duszpasterz, aby nawiązać znów do początku, z pewnością pod tym względem nie jest tak szczęśliwy, jak zawodowy uczony. Czasu nie ma potrzebnego. Kto wie jednak, czy przy roztropnym podziale dnia i programowości w pracy nie dałoby się tu i ówdzie zdobyć cokolwiek czasu dla Ojców. Przecież na przeczytanie gazety, a może i kilku gazet, zawsze czas się znajdzie, a nawet jak wiele nieraz czasu to pochłania! Rzecz oczywista, że dziś bez gazety obejść się nie można. Ale ne quid nimis! Gazeta nie warta nigdy, żeby ją studyować od deski do deski.

Jest jeszcze inna przeszkoda, i to poważna i uzasadniona. Oto brak wydawnictw patrystycznych tanich, wygodnych, przystępnych. Na Migne'a mało kogo stać, na wydawnictwa, wiedeńskie, berlińskie lub francuskie, może jeszcze mniej. Potem te ogromne tomy! Ktoby się do tego zabierał! W antykwarniach możnaby czasem tanio nabyć to lub owo, ale często niema tego, czegoby się chciało. Myślano już oddawna o zaradzeniu tej niedogodności przez wydawnictwa wyborowe, kieszonkowe, tanie i zgrabne. O. Hurter np. podjął się takiego wydawnictwa i ogłosił od 1868 do 1885 r. 48 tomików. Zbiór jego uwzględnia cele praktyczne, nie wchodzi w krytykę tekstu, lecz podaje tekst Maurynów, przy greckich zaś Ojcach łacińskie tłómaczenie. Dla braku poparcia wydawnictwo to utknęło. Większe powodzenie

będzie może miało wydawnictwo francuskie, albo znakomite Florilegium patristicum prof. Rauschena.

Jednym z najczęstszych praktycznych zarzutów przeciw studyum Ojców jest ów, że należałoby Ojców przetłomaczyć na języki żyjące, a nie żądać, żeby ich czytano po łacinie i po grecku. Atoli *nawet najlepszy przekład nie zdoła zastąpić oryginału, a dla kapłana czytanie Ojców w oryginalnym języku jest o wiele korzystniejsze.* Pisma Ojców łacińskich, z wyjątkiem może jednego Tertuliana, nie są trudniejsze od klasyków, a najlepszych greckich, n. p. Chryzostoma, czyta się tak łatwo, jak klasyków. Przyznać jednak trzeba, że nie obeszłoby się bez dobrych objaśniających ustępów, odpowiednich objaśnień rzeczowych, a czasem nawet niezbędnych filozoficznych; tekst jednak powinienby pozostać oryginalny. Wszak z gimnazyum każdemu pozostało tyle greki, a w każdym razie łaciny, że bez zbytnich trudności zdoła czytać pisma tak ważne, jakiemi są pisma Ojców Kościoła.

Dlatego powtarzamy: ad Patres!

Ks. Jan Korzonkiewicz.

Ruch katechetyczny i duszpasterski u Słoweńców i Chorwatów.

(C. d. n.). Jak daleko sięga już organizacya katolicka u Słowieńców, najlepiej chyba można poznać ze stowarzyszenia gimnastycznego „Orel“ (orzeł). Słowieńcy mieli oddawna i mają towarzystwo gimnastyczne „Sokół“, podobne do naszego. Ale ono było im zanadto liberalne. Służyło więcej do rozbawiania ludu kosztem wiary i moralności; zloty urządzało w czasie nabożeństw, nie troszcząc się o Kościół, wieczornice były połączone z różnego rodzaju wybrykami. Księża Słowieńcy poczuli się widać już dobrze na siłach, kiedy przed trzema laty rzucili hasło założenia własnego katolickiego stowarzyszenia gimnastycznego p. n. „Orel“. Dziś po tak krótkim czasie liczy już „Orzeł“ pięćdziesiąt pięć gniazd i urządza zloty, imponujące liczbą i okazałością.

Byłem świadkiem takiego zlotu „Orłów“ w Kamniku koło Lublany w dniu 8. sierpnia 1909. Miasto nie duże, ale schludne (bo nie żydowskie), przyozdobione było świątecznie. Napływ ludności okolicznej znaczny, Orłów stawiło się około 800. Sam ksią-

żę Biskup Jeglić zjechał, mimo że miał do przebycia w krótkim czasie uciążliwą drogę aż z Dubrownika w Dalmacyi, gdzie brał udział w zjeździe eucharystycznym. Księży także przybyło sporo; koszta i kłopoty urządzenia tego zlotu wziął na siebie miejscowy proboszcz i poseł sejmowy ks. Laurencić.

Przed południem pochód Orłów, przemowy, powitania i uroczyste nabożeństwo w kościele. Po obiedzie odbywały się na zaimprowizowanem boisku właściwe popisy gimnastyczne, które wprawiały w prawdziwy zachwyt. 500 dzielnych junaków mimo letniego upału wykonywało najrozmaitsze ćwiczenia z towarzyszeniem dwóch orkiestr. Między innemi zadziwiające ewolucye z 2 rapierami w rękach, świadczyły o wielkiej zręczności i biegłości w fechtunku.

Lecz co było dla widza Polaka-księdza prawdziwem „curiosum“: Czterech wikaryuszów przybyło w stroju sokolim, jakiego Orły używają, a dwóch ćwiczyło na boisku z innymi Orłami w koszulkach! I na to wszystko patrzył z trybuny książe Biskup lublański Dr. Jeglić! Tego już chyba za wiele! pomyśli niejeden z Czytelników.

Prawda, że to nowość dla nas trudna do zrozumienia i naśladowania. A jednak, jeżeli się bierze ją w związku z całością, mianowicie z tą walką o krzyż, jaką na każdem polu prowadzą dziś Słowieńcy przeciw liberalizmowi“ (czyt. ateizmowi), to brać jej za złe nie można. Tu chodzi o trafienie do zaufania ludu, o pozyskanie go dla wiary i dla Boga, a o oderwanie od związków religii wrogich.

Czyż dla tej idei nie pracowali pierwsi misyonarze w różnych krajach w podobny sposób, a nawet jeszcze dziwniejszy. Przecież św. Kryspin i Kryspian wyuczyli się szewstwa i to rzemiosło wykonywali w różnych miastach, wśród najniższej ludności, byle przy tej sposobności nawracać na wiarę chrześcijańską!

Cóż z tego, że duchowieństwo francuskie jest tak ułożone zewnętrznie i tak dalece bojażliwe o to, co wypada, a co nie wypada, że wikaryusz w Dinard (Bretania) żenował się jechać ze mną fiakrem przez miasto, bo „to jakoś dziwnie będzie wyglądało“, bo „on tego w ciągu kilku lat pobytu jeszcze nie robił“! Cóż z tego, pytam, kiedy to samo duchowieństwo stało się dla ludu francuskiego (na ogół oczywiście biorąc) obcem?

Ksiądz amerykański w Kanadzie (nawet francuskiej), słynącej z przywiązania do wiary, przypina łyżwy i ślizga się razem z publicznością, w krótkiem cywilnem ubraniu, bez utraty swej

powagi. Ksiądz niemiecki idzie w surducie nawet i do gospody na szklankę piwa i pogadankę ze swymi parafianami, a cieszy się mimo to wielkiem zaufaniem ludu. Czemuż ksiądz słowieński nie mógłby gimnastykować się z ludem?

To może mu nawet fizycznie się przydać.

W ciekawej powieści angielskiej pod tyt. *„Mój nowy wikary"*, która jest jakby praktycznym wykładem Pastoralnej nowożytnej, napisanej przez ks. Sheehan[1]), nowy wikary, bohater powieści, jest członkiem miejscowego stowarzyszenia gimnastycznego, „bractwa ludzi siejących święty postrach" i imponuje całej parafii swą siłą i zręcznością, szczególnie od czasu, gdy jakiegoś socyalistę, przybłędę, za jego mowę podburzającą chwycił w ręce jak piórko i osadził w pobliskiej kałuży na tak długo, póki nie odwołał tego, co powiedział i nie przyrzekł w tej chwili się wynieść z parafii. Nawet sztuka strzelania przydałaby się niejednemu księdzu, szczególnie w Królestwie polskiem wobec napadów bandyckich na plebanie.

Zatrzymałem się dłużej nad „Orłami" słowiańskimi nie dlatego, żebym uważał to stowarzyszenie za najważniejsze i najpotrzebniejsze, ale, że jego powstanie i rozwój jest najwymowniejszą illustracyą, jak daleko sięga wpływ kleru słowiańskiego i jakie szerokie koła zatacza w Krainie idea organizacyi katolickiej.

Łatwo teraz będzie uwierzyć w istnienie tylu innych związków religijnych, oświatowych i społecznych w tym niedużym kraju, których organizatorami byli, jeżeli nie wyłącznie, to przeważnie księża słowieńscy.

I tak istnieją w Krainie: „Związek słowieński chrześcijańsko-społeczny", liczący kółek 350, członków 3800.

„Družba św. Mohorja" (Hermagorasa), bractwo religijne, które wzięło sobie za cel wydawnictwo książek popularnych. Założone w r. 1852 ma wprawdzie zarząd główny i własną drukarnię w Celowcu, ale jest popierane głównie przez Słowieńców w Krainie. Wydaje rocznie pół miliona książek. Razem wydało dotychczas kilkanaście milionów książek i broszur.

„Slovenska Matica" i „Leonova Družba" (od r. 1892) są stowarzyszeniami pracującemi głównie dla klas wykształconych. „Matica" ma członków 3461, z tych 6 honorowych i 208 założycieli t. j. takich, którzy złożyli co najmniej po 100 koron, a wydaje

---

[1]) Mój nowy wikary" przez ks. Sheehan, tłum. polsk. „Roli" Warszawa 1904.

co rok po kilka książek. „Leonova Družba“ urządza odczyty naukowe, a nadto wydaje apologetyczny miesięcznik naukowy „Cas“, podobny do „Przeglądu powszechnego“, tylko skromniejszych rozmiarów.

„Związek św. Cecylii“ popiera muzykę i śpiew kościelny, utrzymuje także szkołę organistów, z której od r. 1877 wyszło około 200 wykształconych organistów. Tu nadmienię, że dyrygentem chóru katedralnego (mieszanego) w Lublanie jest ksiądz. Byłem na sumie w katedrze lublańskiej i podziwiałem piękność śpiewu, a zarazem poważne zachowanie się wykonawców.

„Związek św. Cyryla“ jest stowarzyszeniem literackiem.

„Akademia św. Tomasza“ jest stowarzyszeniem filozoficznem.

„Konferencye św. Wincentego à Paulo“ utrzymują ochronkę dla 60 sierót „Collegium Marianum“, która jest połączona z pięcioklasową szkołą prywatną słowieńską.

„Związek pań chrześcijańskiej miłości“ dla opieki nad ubogimi i sługami utrzymuje schronisko dla sług, zwane Josephinum, którem kierują zakonnice od św. Krzyża.

Dziećmi biednemi zajmuje się „Katolisko drustvo detoljubov“, który liczy 2500 członków.

„Bractwo adoracyi Najśw. Sakramentu“ liczy 110.000 członków i dostarcza przyborów kościelnych ubogim kościołom. A to jeszcze nie wszystko. Istnieje tam organizacya katolicka robotników tak silna, że kongres robotniczy w r. 1306 przedstawiał sześć tysięcy robotników!

Istnieją związki katolickie czeladników i terminatorów, które mają na celu pielęgnowanie ducha religijnego a zarazem udzielanie pomocy materyalnej członkom. Związek lublański dla czeladzi przyjął od roku swego założenia 1855 do dziś około 2000 czeladników.

Istnieje spółka budowlana dla stawiania robotniczych domów, która w ciągu lat pięciu wybudowała dla robotników sto domów, (każdy stoi osobno z ogródkiem) i oddała je na dogodnych warunkach spłaty rocznej na własność robotnikom. Dodać należy, że rozwój tej spółki zawdzięczyć należy głównie ks. Drowi Krekowi, profesorowi socyologii w semiryum duchownem w Lublanie. Jego nazwisko spotyka się dziś często na polu praktycznej działalności oświatowej i społecznej w Krainie. Można sobie wyobrazić łatwo, ile dobrego działają wykłady takiego profesora w seminaryum kleryków i jakie praktyczne duchowieństwo wychodzi z pod jego ręki.

Można też zrozumieć dlaczego Chorwaci po kilkunastu kleryków posyłają wśród wakacyi do Krainy!

Może kto zapytać: A kiedyż ci księża słowieńscy mają czas na to wszystko? Skądże biorą pieniądze? A toż tam chyba każdy należy do kilku lub kilkunastu stowarzyszeń?

Rzeczywiście jest się czemu dziwić. Zjazdów tam, szczególnie w porze cieplejszej, taka moc, że nie tylko wypadają jeden po drugim, ale czasem kilka naraz. Muszą więc na nie poświęcać księża niemało czasu. Czy praca ściśle parafialna (w naszem pojęciu) nie ucierpi co na tych zjazdach? Być może, ale z drugiej strony trzeba przecież w tej pracy związkowej kleru słowiańskiego i chorwackiego, w tych pracach zjazdowych uznać także rodzaj duszpasterstwa. Boć te wszystkie związki, nie wyłączając nawet „Orłów“, mają podkład religijny, katolicki. Jestto jakby budowanie na nowo, czyli raczej przebudowa społeczeństwa chrześcijańskiego odpowiednio do potrzeb dzisiejszych. Może się przytem i straci coś czasu i grosza, jak przy każdej budowie, ale to się później a może i rychło opłaci.

Bez tej organizacyi grozi katolikom w Krainie, a nietylko w Krainie to, co spotkało już Francyę: kościoły opustoszeją, a kler, choćby liczny, karny i przykładny, jakim na ogół jest dzisiejszy kler francuski, będzie ręce załamywał i biadał nad przewrotnością rządu i obojętnością wiernych! (D. n.).

Ks. Mateusz Jeż.

Kazanie przed wizytacyą parafialną
czyli przed t. zw. Kolendą.

Najmilsi!

Jednym z bardzo ważnych obowiązków duszpasterza jest poznanie owieczek, jego pieczy powierzonych, poznanie ich nietylko z nazwiska, albo z wyglądu, ale i z usposobienia i z ich prowadzenia się moralnego.

Aby tej znajomości swoich owieczek nabyć, nie dosyć jest pasterzowi dusz spotykać się z nimi tylko w kościele, lub w kancelaryi, lecz trzeba mu zajść do domu każdego i tam na miejscu przyjrzeć się wszystkim i wszystkiemu; zobaczyć, jak mieszkają jego parafianie, czy czysto i przyzwoicie wszyscy ubrani, czy w ich domu i koło domu jest wszędzie porządek i schludność, a z rozmowy wywiedzieć się, czy małżonkowie żyją ze sobą w zgodzie, czy rodzice po bożemu wychowują swoje dziatki, a dzieci znowu czy są posłuszne rodzicom, czy niema w którym domu jakiego zgorszenia, czy wszyscy bywają w kościele i do

spowiedzi św., czy wszyscy, a osobliwie dzieci, uczą się i umieją katechizm, jakiemi parafianie odznaczają się cnotami, a jakie z drugiej strony znowu panują między nimi wady i występki, ilu jest w parafii ubogich, ile chorych i kalek itd. itd. To nawiedzanie domów przez księdza, czyli tak zwana wizytacya parafialna, odbywa się zazwyczaj w okresie świąt Bożego Narodzenia, bo wtedy wszyscy są w domu, nawet ci, co za robotą w świat wyjeżdżać muszą. Ubrany w szaty kapłańskie, w towarzystwie ministrantów, którzy do Mszy św. usługują, wstępuje wtedy duszpasterz, albo w jego zastępstwie ks. wikary, do każdego domu we wsi, czy w mieście. Pozdrawiając wszystkich tem staropolskiem pozdrowieniem: *Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus* i słowami samego Pana Jezusa: *Pokój temu domowi*, modli się najpierw nad wszystkimi, a pokropiwszy potem dom i wszystkich w nim obecnych wodą święconą, którą się umyślnie na ten cel w wilię święta Trzech Królów w kościele poświęca, udziela następnie wszystkim obecnym błogosławieństwa Bożego krzyżem, do którego zazwyczaj przywiązane są odpusty, przyczem podaje każdemu z obecnych ten krzyż do pocałowania.[1])

Po tej dopiero czynności wdaje się kapłan z obecnymi w rozmowę i przygląda się wszystkiemu pilnie, bo z porządku w domu może wnioskować o porządku w duszy i o całem prowadzeniu się odnośnej rodziny. Pytając następnie o wszystko, co mu jest potrzebne wiedzieć, daje albo pochwałę starszym, obrazki lub medaliki dzieciom, albo też upomina i karci według tego, na co sobie kto zasłużył. Rzecz naturalna, że w osobie kapłana wstępuje wtedy do domów waszych sam Pan Jezus i dlatego dobrzy a wierzący parafianie tak przyjmują wtedy kapłana, jakby witali samego P. Jezusa, więc i ubierają się odświętnie i porządek w domu i koło domu robią i ścieżki nawet odmiotą i na spotkanie kapłana wychodzą, a czasem nawet goszczą kapłana u siebie na wzór owych niewiast ewangielicznych: Marty i Magdaleny, lub obdarzają go jaką jałmużną, którą powszechnie nazywają kolendą; czynią to wszystko dlatego, aby dać wyraz tej radości, jaka ich ożywia na widok kapłana, ich ojca duchownego. Za wielkie nieszczęście poczytywałby to sobie dobry parafianin, gdyby na tę chwilę, gdy kapłan w jego domu przebywa, on musiał wyjść gdzieś z domu i nie mógł ucałować poświęconych rąk kapłańskich i odebrać z nich błogosławieństwa. I słusznie bardzo! Bo rzeczywiście wiele, bardzo wiele traci ten, kto w tej tak uroczystej chwili i zaraz na początku nowego roku nie otrzyma błogosławieństwa bożego z rąk kapłana! Nie chcę tego powiedzieć, żeby miał mieć już wskutek tego cały rok nieszczęśliwym, powiedzieć natomiast to muszę, że gdyby kto umyślnie

---

[1]) Byłoby może rzeczą wskazaną, aby każdy kapłan postarał się w Rzymie o taki krzyż z odpustem „Toties quoties", bo takim krzyżem udziela się odpustów papieskich, a chorym odpustu zupełnego.

uchodził z domu na ten czas, gdy ksiądz do niego przychodzi, a czynił to z lekceważenia tego błogosławieństwa, albo może z obawy przed upomnieniem kapłańskiem, albo ze wzgardy dla samego kapłana, to pewnie, że zasługuje wtedy na karę Bożą i naraża się na to, że nie doczeka się kapłana wtedy, kiedy go najbardziej potrzebować będzie.

Najmilsi! Wiecie o tem, że nikomu z was źle nie życzę, lecz owszem kocham was wszystkich w Chrystusie Jezusie i duszę radbym oddać za każdego z was! Pragnę więc i tego, abyście wszyscy ze świętem przysposobieniem przyjęli to św. błogosławieństwo, którego wam z głębi serca i w imię Pana Jezusa w domach waszych udzielać będę, dlatego pouczę was dziś o tem, czem jest dla was błogosławieństwo kapłańskie i Boże i jakie ono wywiera skutki. Zanim jednak rozpocznę tę naukę, upadnijmy wszyscy na kolana za przykładem pastuszków betleemskich, a oddając pokłon Bożej Dziecinie w Najśw. Sakramencie utajonej, prośmy wszyscy gorąco o błogosławieństwo do tej nauki za przyczyną Najśw. i najdobrotliwszej naszej Bożej Matki i zmówmy na tę intencyę pobożnie: *Zdrowaś Maryo.*

Błogosławić w ogólnem tego słowa znaczeniu jest to samo co: życzyć bliźniemu dobrze i wedle możności uczynkiem do tego mu dopomagać, aby był szczęśliwym i żeby mu się ze wszystkiem jak najlepiej powodziło. W ściślejszem tego słowa znaczeniu błogosławić znaczy: prosić Boga, aby tego człowieka, albo ową rzecz pod swoją opiekę wziąć i wszelkiem dobrem albo tą lub ową szczególniejszą łaską obdarzyć raczył. Jak z tego określenia widzicie, błogosławić drugiego może każdy człowiek, bo każdy może i powinien życzyć i czynić drugiemu dobrze i prosić za nim Boga, aby go raczył mieć w swej opiece zawsze i wszystkiem dobrem go darzyć. Błogosławieństwo takie jednak nie zawsze jest skuteczne, bo najpierw życzenia nasze nie zawsze spełnić się mogą, a powtóre nie każdy człowiek godzien jest tego, aby go Bóg wysłuchał i na jego prośbę tę lub ową rzecz drugiemu uczynił. Jest tylko jedno błogosławieństwo, które zawsze skutek odnieść musi. Co to za błogosławieństwo? To błogosławieństwo kapłańskie! Kiedy bowiem kapłan błogosławi, to błogosławi nie jako człowiek zwykły i nie w swojem imieniu, ale błogosławi jako sługa i przyjaciel Boży, jako zastępca samego Chrystusa Pana i w imieniu P. Jezusa i Jego św. Oblubienicy Kościoła św. Jaśniej to powiem. Kiedy kapłan cię błogosławi, to błogosławi cię jego ręką i jego ustami sam Bóg, Jezus Chrystus i błogosławi cię Kościół św., którego kapłan jest przedstawicielem. Kiedy więc kapłan obróci się od ołtarza przy Mszy św. i błogosławi cię, albo kiedy klękniesz przed kapłanem przy ślubie małżeńskim i on cię pobłogosławi na drogę żywota, albo gdy klęknie przed kapłanem niewiasta z dziecięciem przy tak zw. wywodzie po narodzeniu dziecięcia, albo gdy kapłan pobłogosławi ciebie i twój dom przy wizytacyi parafialnej, albo wtedy gdy z P. Jezusem do chorego przyjeżdża, to byleś tylko ty, czy ta niewiasta, czy ten chory, byleście tyl-

ko byli usposobieni należycie i pragnęli łaski Bożej, błogosławieństwo kapłana zstąpi rzeczywiście na głowę twoją, do serca twego i będziesz rzeczywiście błogosławionym t. j. szczęśliwym, bo otrzymasz na pewno tę łaskę, o którą kapłan Boga dla ciebie prosi. Tu zaraz dodać muszę, że mówię tylko o błogosławieństwach, a nie o *poświęceniach*, przez które rzecz jakąś lub osobę oddaje Kościół na wyłączną służbę Bożą.

Aby ocenić należycie błogosławieństwo, udzielane przez kapłana, przypatrzmy Kościół jego skutkom.

Ponieważ każda rzecz wyjaśnia się najlepiej na przykładzie, więc przytoczę kilka takich przykładów, z których poznacie wielką bardzo moc i skuteczność błogosławieństwa Bożego. Przykłady te zaczerpnąłem z Pisma św., więc są prawdziwe i nie podlegają żadnej wątpliwości. Pierwszego dostarcza nam historya Żydów. Czytamy tam, że gdy brakło im wody do picia w pielgrzymce z Egiptu do ziemi obiecanej na puszczy, poczęli wtedy wszyscy szemrać i wyrzekać przeciw Mojżeszowi, że jeżli mają ginąć z pragnienia, to raczej im było pozostać w niewoli egipskiej, że Bóg nie pamięta o nich i t. d. Widząc to Mojżesz, ich przewodnik, począł się modlić gorąco do Boga, żeby się zlitował nad swoim ludem, a dał mu wodę, aby nie zginął z pragnienia. A po modlitwie poszedł nad jezioro nazwiskiem Mara, w którem była wprawdzie woda, ale taka gorzka i cuchnąca, że nie mogła żadną miarą służyć za napój, lecz raczej była trucizną. Tę tedy wodę pobłogosławił Mojżesz i natychmiast stała się słodką i dobrą do picia.[1]) O Elizeuszu znowu, proroku, czytamy, że gdy przyszedł do miasta Jerycho, a tam skarżono mu się, że „wody są bardzo złe i ziemia niepłodna“, on pobłogosławił je, wpuściwszy do wody soli, a natychmiast „uzdrowione są wody aż do dnia tego“.[2]) O Tobijaszu zaś młodym wiemy, że pojął za żonę Sarę, która już siedm razy przedtem wyszła za mąż, ale „czart pomordował“ wszystkich jej mężów, gdy się do niej zbliżyć chcieli. Bał się więc Tobijasz, aby i jego ten los nie spotkał. I cóż uczynił? Modlił się z Sarą przez trzy dni i pobłogosławił izbę — mówi Pismo św.[3]) a czart uciekł natychmiast ztamtąd, żadnej szkody mu nie wyrządziwszy. A o owych pięciu bochenkach chleba i dwóch rybach, które się tak cudownie rozmnożyły, że pięć tysięcy mężów samych, nie licząc niewiast i dzieci, których pewnie co najmniej drugie tyle było, któż z was nie słyszał? Czemże się to stało? Oto Jezus pobłogosławił te chleby i ryby i ztąd to rozmnożenie.[4]) Na ostatniej wieczerzy zaś, wiadomo wam, że Pan Jezus pobłogosławił chleb i wino, a natychmiast zamieniły się w Jego Najw. Ciało i Krew Jego Przenajśw. Z przykładów tych cóż się pokazuje? Widzimy z nich, że błogosławieństwo Boże dokonuje cudów prawdziwych i że przeto wielką bardzo jest jego moc i potęga.

---

[1]) Ks. Exodus 15. 23–25. — [2]) IV. Ks. Król. 2. 18–22.
[3]) Tobjasz r. 8. — [4]) Mat. r. 14.

Ale to nie wszystko jeszcze. Błogosławieństwo Boskie zapewnia nam nadto pomyślność we wszystkich naszych sprawach. Dowodów na to dostarcza znowu Pismo św. I tak o Jobie np. sprawiedliwym czytamy tam, że dlatego był bogatym i we wszystko opływał, iż mu Bóg błogosławił. A kiedy mu szatan odebrał wszystko pewnego razu, oczywiście z dopuszczenia Bożego, to *„Pan błogosławił Jobowi więcej niż początkowi jego“*[1]) i stał się Job teraz bogatszym jeszcze, niż pierwej. W księdze Leviticus zaś mówi Pan Bóg sam do Izraelitów, że szóstego roku da im takie błogosławieństwo, iż urodzi się im w tym jednym roku więcej, niż kiedyindziej za lat trzy. *„Dam wam błogosławieństwo, a ono uczyni wam urodzaj trzech lat“.*[2]) Inny przykład: za czasów króla Ezechiasza mieli Żydzi tak wielki urodzaj, że zboże aż gniło w stogach. *„I zapytał* (król) *kapłanów i lewitów, czemuby tak leżały stogi? I odpowiedział mu Azarjasz kapłan, mówiąc: Odtąd zostało* (zboża) *bardzo wiele przeto, iż Pan błogosławił ludowi swemu“.*[3])

Ale nietylko w doczesnych i ziemskich sprawach jest nam pomocne błogosławieństwo Boże — ono i w rzeczach wiecznych, w sprawach, odnoszących się do duszy, jest nam niezmiernie pomocne. Świadczy to wyraźnie sam Duch św., który tak mówi: *„Bo gdy Ty Panie kogo błogosławisz, to będzie błogosławionym na wieki“.*[4]) *„Błogosławił Pan Samsonowi,* — mówi Pismo św. — *i począł Duch Pański być z nim“.*[5]) *„Żebyście strzegli pilnie i skutkiem wypełnili przykazania i zakon, żebyście miłowali Pana Boga waszego, a chodzili wszystkiemi drogami Jego i zachowali przykazania Jego... i służyli Mu ze wszystkiego serca i ze wszystkiej duszy waszej“*, mówi znowu na innem miejscu Duch św.,[6]) — trzeba wam do tego błogosławieństwa Bożego — otóż ja *„dam wam błogosławieństwo moje“*[7]) — tylko proście o nie i szukajcie go, bo *„którzy szukają... najdą błogosławieństwo“.*[8]) Z tych słów widzicie jasno chyba, drodzy moi słuchacze, że z błogosławieństwem Bożem spływa na nas wszelka łaska Boża, potrzebna nam do zbawienia, i że nawet sam Bóg raczy się zniżać do nas, aby wspomóc nasze słabe siły i dopomagać nam w walce z nieprzyjaciółmi duszy naszej. Rozumiał znać dobrze tę moc błogosławieństwa Mędrzec Pański, skoro w każdej ciężkiej chwili dla swej duszy powtarzał: *„W błogosławieństwie Bożem i sam-em nadzieję położył“.*

Błogosławieństwo Boże, udzielane wam ręką i modlitwą kapłana, ma jeszcze i tę moc, że może ono uchronić od pokus czartowskich i od wielu nieszczęść. Aby wam to wykazać, dość mi będzie wspomnieć o tych licznych, a cudownych prawdziwie uzdrowieniach, jakie nam opisuje „Posłaniec Arcybractwa Serca Jezusowego“ na końcu każdej książeczki, a które

---

[1]) Job 42. 12. [2]) Lev. 25. 21. [3]) II. Paral. 31. 9—10. [4]) Paral. 17. 27. [5]) Sędz. 13. 24—25. [6]) Joz. 28. 5—6. [7]) Eccli. 32. 18. [8]) Eccli. 33. 17.

stały się za użyciem medalika lub szkaplerzyka Serca Jezusowego i przez modlitwę. Gdyby was to nie przekonało, wspomnijcie sobie na to, co wiecie o medalikach, lub szkaplerzach poświęconych. Wszak sami na sobie musieliście nieraz już tego doświadczyć, jak to za ucałowaniem, lub tylko za przyciśnięciem do piersi zawieszonego tam medalika lub szkaplerza najgwałtowniejsze pokusy opuszczały was! A w niebezpieczeństwie życia lub mienia, medalik lub szkaplerz, czy nie okazał się wam nieraz prawdziwie cudownym? Czy nie słyszeliście np. o tem, jak to kule na wojnie miażdżyły się na szkaplerzu, który żołnierze na sobie mieli? Czy nie słyszeliście o tem, jak na głos dzwonka loretańskiego chmury gradowe omijały wsie, w których dzwonek taki mają? Pytam się was, zkąd taką moc nadzwyczajną medaliki, szkaplerze i dzwonki mają, jeźli nie z błogosławieństwa, które kapłan, poświęcając je, przywiązał do nich? Tak! to nie ulega wątpliwości, że świętą to jest prawdą, co powiedział Mędrzec Pański, że *„błogosławieństwo Pańskie czyni ludzi bogatymi i ani się przyłączy do nich utrapienie“.*[1])

Z tego, co tu o błogosławieństwie powiedziałem, zrozumiecie już teraz łatwo, drodzy moi słuchacze, dlaczego to Święci ludzie o błogosławieństwo Boże bardzo się ubiegali i często o nie Boga i kapłanów prosili. Nie przesądzę nawet, gdy powiem, że Święci nie byliby świętymi, gdyby im Bóg nie błogosławił. Nie byłby Jakób wielkim patryarchą, gdyby był nie wziął od ojca swego błogosławieństwa osobliwszego. Nie byłby pewnie nigdy Dawid królem z pastuszka, gdyby go był Bóg nie wspierał Swojem błogosławieństwem. Wołał on często do Boga: *„Błogosław domowi sługi Twego Panie Boże, aby był na wieki przed Tobą“.*[2]) — *„Niech się nad nami Bóg zmiłuje i błogosławi nam, niech nas błogosławi Bóg, Bóg nasz, niech nas błogosławi Bóg“* [3]) i dał mu Bóg błogosławieństwo, które sprawiło, że z jego rodu narodził się Zbawiciel, a on sam został świętym. I dzisiaj wszyscy dobrzy chrześcijanie-katolicy wielce sobie cenią błogosławieństwo — przyklękają więc po nie nowożeńcy przed rodzicami swymi, zanim pójdą do ślubu, proszą o nie dobre dzieci umierającego swego ojca lub matkę, a wszyscy inni dla zapewnienia sobie błogosławieństwa Bożego noszą na sobie medaliki poświęcone i szkaplerze, mają w domu wodę święconą i nią się skrapiają, chodzą pilnie do kościoła na nabożeństwa, a zwłasza na Mszę św., a kiedy z kapłanem się spotkają, a tembardziej, gdy kapłan do domu ich przyjdzie, uważają to sobie za bardzo wielkie szczęście i o błogosławieństwo dla siebie zawsze go proszą. Źli tylko i nieoświeceni we wierze ludzie lekceważą sobie błogosławieństwo Boże i kapłańskie i nie starają się o nie. Do nich czy chciałby kto z was należeć? Ach nie daj tego Boże! Nie daj tego Boże, aby kto z was miał wymykać się z domu w tym czasie, gdy kapłan w imię P. Jezusa z błogosławieństwem domy

---

[1]) Przyp. 10. 22. — [2]) II. Król. 7. 29. — [3]) Ps. 6. 2 i 7.

wasze obchodzić będzie! Nie daj tego Boże, bo aż dreszcz przechodzi, kiedy się czyta, czem Pan Bóg grozi takim ludziom. „*Iż wy gardzicie, przeto to mówi Pan: Oto słudzy moi*", t. j. ci dobrzy ludzie, co czczą kapłana i błogosławieństwo z rąk jego z wdzięcznością przyjmują — ci słudzy moi *jeść będą, a wy łaknąć będziecie — oto słudzy moi pić będą, a wy upragniecie — oto słudzy moi weselić się będą, a wy się zawstydzicie — oto słudzy moi wykrzykać będą od radości serdecznej, a wy wołać będziecie od boleści serca i od skruszenia ducha wyć będziecie.*[1]) „*Ujrzał Pan* — mówi Duch św. — ujrzał, że niektórzy lekceważą sobie jego błogosławieństwo — *ujrzał Pan i rzekł: Skryję oblicze moje od nich, a będę się przypatrował końcowi ich. Naród bowiem przewrotny jest i niewierzący synowie*".[2]) Lekceważył sobie Ezaw błogosławieństwo ojca swego i nie pilnował się, aby je odebrał, ale *zaryczał potem głosem wielkim* — mówi Pismo św. — *a ciężko sfrasowany wołał:* „*Błogosław też i mnie ojcze mój*"[3]), ale „*był odrzucon*"[4]) — powiada Paweł św. — i „*nie nalazł miejsca pokuty, choć jej ze łzami szukał*".[4]) Patrzcież Najmilsi!, co sobie gotuje człowiek, który za nic sobie ma błogosławieństwo, którego kapłan z głębi serca w domach waszych udziela. A nie myślcie, że to czcza pogróżka. Pewien kapłan, żyjący dotąd, opowiada, że kiedy odbywał wizytacyę parafialną, błogosławiąc przytem wszystkie domy i wszystkich w nich mieszkających, zdarzyło się, że pewien człowiek, niewiadomo dla jakich powodów, zamknął drzwi domu swego przed nim i nie chciał ich w żaden sposób otworzyć, mimo, że kapłan prosił go o to i przedstawiał, że przecie nic od niego nie chce, a pragnie go tylko poznać i pobłogosławić. I cóż się stało? Oto na drugi dzień raniutko znaleziono tego człowieka bez życia. Umarł bez księdza, bez Sakramentów św.! Wyrządził wzgardę kapłanowi, więc nie doczekał się go wtedy, kiedy go może pragnął i najbardziej potrzebował.[5]) I cóż wy na to? Najmilsi! Czy chciałby kto z was tak umierać? Sądzę, że nie! Dlatego proszę was, otwórzcie mi domy wasze, a nietylko domy, ale i serca wasze, abym was błogosławił w imię Boże! Niechaj nikogo z was nie brakuje w domu na tę chwilę! Aby zaś błogosławieństwo Bożej Dzieciny, które wam przyniosę, zlało się obficie z nieba na domy i na głowy i serca wasze, wołajcie naprzód już z Dawidem prorokiem, modląc się gorąco: „*Niech się zmiłuje nad nami Bóg, a niech nam błogosławi*"[6]), a da Pan Bóg, że stanie się to, co sam powiedział: „*Ja Pan... dam wam błogosławieństwo moje*".[7]) Amen.

Ks. Adolf Albin, proboszcz w Chełmie.

---

[1]) Iz. 65. 13—14. [2]) Deuter. 32. 19—20. [3]) Gen. 28. 34. [4]) Do Żydów 12. 17. [5]) Ten wypadek zdarzył się mnie samemu raz w Tarnowie, drugi raz w Szczawnicy. [6]) Ps. 6. 2. [7]) Lev. 25. 22.

Ankieta katechizmowa.

Znalazłszy chwilę wolnego czasu zabieram się do spisania mych uwag co do projektów katechizmowych. Idę po kolei od n. I. Zaczynam od *X. Krzanowskiego.*

I. Zgadzam się na jego uwagę co do pytania: „W czem są zawarte w krótkości prawdy, w które wierzyć powinniśmy... Ale ponieważ każde dziecko ma w ręku katechizm, i z niego uczyć się będzie, więc sądzę jednak, że potrzebaby dziecię z ogólną treścią tej książeczki od razu zawiadomić może pytaniem: co lub jaką naukę zawiera książka zwana katechizmem?

Nie zgadzam się jednak na uwagę X. Krz., jakoby to słowo „wierzyć" wymagało zaraz na wstępie szerszego wytłumaczenia pojęcia wiary i pobudek wiary. Zgadzam się więc z uwagą X. Redaktora, że *ogólne* wytłumaczenie na początku wystarczy.

2. Co do kwestyi: gdzie umieścić sześć prawd wiary, nie zgadzam się ze zdaniem X. Krz., jakoby miejsce na nie było dopiero *po nauce* o wierze i po składzie Apostolskim, gdyż znajomość i rozumienie tych 6 prawd, *jakie takie przynamniej*, jest dla wszystkich *konieczne!!* necessitate medii, (abstrahując od pytania: czy wszystkich sześć), a znajomość Składu Apost. jest tylko ex praecepto!...

3. X. Krz. zaczyna od składu Apost. Powyżej zrobił zarzut, że nie można zaczynać od wspomnienia choćby słowa „wierzę", bo to pojęcie dzieciom nieznane; ten sam zarzut mógłby ktoś przeciw niemu samemu obrócić: że Skład Apost. zaczyna od słowa *Wierzę...* i wspomina w pojęciu Składu Apostolskiego Apostołów, o których dzieci może jeszcze nic nie wiedzą!

4. Co do pytania 10-go: „Kogo nazywamy Bogiem?"... to uważałbym za potrzebne wedle nauki św. Pawła, na którą X. Krz. w swych uwagach się powołuje (i słusznie), najpierw odpowiednio *ze rzeczy widzialnych*, dzieciom znanych, przyprowadzić ich umysł i wiedzę *do jakiegoś poznania:* że jest Bóg!! a mianowicie, przez rozmowę z dziećmi: kto zrobił rzeczy dzieciom znane..,. a potem kto „zrobił" ziemię, słońce etc., a na ziemi rośliny, a na nich kwiaty, owoce, kto pierwsze zwierzęta i dał im oczy, uszy etc... kto pierwszych ludzi, a tak utoruję drogę do odpowiedzi na pierwsze pytanie: kogo nazywamy Bogiem?... W odpowiedzi na to pytanie zasadnicze, zgadzam się z X. Redaktorem, żeby nie używać jeszcze wyrazu: „istota", ale poprostu powiedzieć: Bogiem nazywamy tego, który cały ten świat i wszytko na świecie zrobił (bo to słowo i pojęcie jemu odpowiadające jest dzieciom najzrozumialsze i najprzystępniejsze)... Albo też możnaby wpierw dać pytanie: Z czego P. Bóg ten świat zrobił, n. p. w ten

sposób: Z czego robi garncarz garnki... Z gliny. A jak niema gliny, czy potrafi zrobić?... Nie! a z czego P. Bóg zrobił tę ziemię, etc... Z niczego!... To znaczy stworzyć... A tak mając pojęcie stworzenia można następnie dodać do pierwszego wstępnego pojęcia P. Boga zamiast słów: który wszystko uczynił, „który wszystko stworzył.“

Co do określenia albo raczej pojęcia P. Boga, że i wszystkiem rządzi, miałbym tę trudność, czy to nie zawcześnie powiedzieć odrazu: „i rządzi“, bez wstępnego poprzedniego przygotowania umysłu dziecka do tego, a mianowicie, że ten Bóg, który wszystko stworzył, wszystko też utrzymuje... i dalej tem stworzeniem kieruje i rządzi!... Dla dzieci zawsze lepsza jest synteza aniżeli analiza!...

5. W pyt. 11. P. Bóg jest sam od siebie... i dlatego wieczny, bardzo słusznie X. Krzan. łączy wieczność ze samoistnością i zarzut X. Redaktora jest nieuzasadniony, że X. Krzan. samoistność pomieszał z wiecznością!... Nie pomieszał, ale tylko złączył, a to nie jest to samo, gdyż rzeczywiście ex necessitate essendi et aseitate wynika wieczność![1])

Także zarzut przeciw wyrazowi „istota“, że jest zbyt ogólnikowy, jest niesłuszny, gdyż to jest właśnie zaletą, że ten wyraz jest tak ogólny. Dziecko nie ma jeszcze żadnego pojęcia bliższego o Bogu i o *duchu*... dlatego dopiero później może i powinno to pojęcie być dodane, a mianowicie przez zwrócenie uwagi dziecka na to, że my nie wszystko widzimy, nawet rzeczy tego świata i pod zmysły podpadające, jak powietrze, głos, zapachy etc., nie widzimy i tej istoty, która w nas jest, co daje nam życie, (trup nie żyje), co daje czucie, (trup nie czuje), co w nas myśli, etc... tj. duszy naszej... a tak dojdziemy do tego, żeby dziecko poznało, że i P. Bóg jest takim podobnym duchem!... Ale od razu bez poprzedniego wstępu i przygotowania dać określenie: że Bóg jest duchem, to za prędko![2]) Dlatego raczej przypisuje słuszność X. Krzan., że o tem, iż Bóg jest duchem mówi dopiero w dalszem pytaniu 13-tem.

6. W pyt. 14. zam. ostatnich słów: „Że Bóg posiada wszystkie doskonałości w stopniu nieograniczonym, powiedziałbym raczej: posiada

---

[1]) Nie rozchodziło się mi o kwestyę dogmatyczną, lecz o dydaktykę, która nie pozwala dwóch rzeczy odrębnych, chociaż pokrewnych, łączyć w jednej odpowiedzi, lecz każe o każdą zapytać osobno. (D. R.).

[2]) Czcigodny oponent przeoczył okoliczność, że katechizm przeznacza się dla dzieci od III-go roku nauki począwszy, a tymczasem już na I. i II. roku nauki uczy się przy Biblii o Bogu, jako o duchu. Czemuż nie możnaby się na tem oprzeć? Odnosi się to również do wzmianki X. Krz. (3) o Apostołach. (D. R.)

wszystkie doskonałości w stopniu *bez porównania większym, doskonalszym*, nieskończonym, czyli że Bóg jest nieskończenie doskonałym, a tak pyt. 15. i odpowiedź na nie będą już niepotrzebne i odpadną!

7. Pyt 16. X. Krz. Kto jest Bóg?... Zgadzam się zupełnie na powtórzenie tego pytania w rozszerzonej i uzupełniającej pojęcie p. Boga formie, ale nie zgadzam się na to, żeby w tej odpowiedzi dawać własność P. Boga, że jest wszędzie obecny! Bo dlaczego dać *raczej ten przymiot* a nie inne ważniejsze nawet? To pytanie postawiłbym raczej niżej po doskonałościach Boskich...

8. Pyt. 18. X. Krz. O których doskonałościach powinniśmy jak najczęściej pamiętać?... postawiłbym raczej: które są najważniejsze doskonałości Boskie?

W pojęciu świętości dodaćby należało: że Bóg nieskończenie brzydzi się złem! Co do porządku, w jakim te własności Boskie po sobie następują, zarzuciłbym *brak logicznego porządku*; możnaby i potrzeba je lepiej zestawić, a raczej rozdzieliłbym je na pewne grupy, przynajmniej na trzy: 1. doskonałości ogólne: 2. rozumu, 3. woli.

Na końcu powinna być jakaś praktyczna aplikacya! tak jak to bywa w innych katechizmach!

Paragr. II. O trzech osobach w jednym Bogu.

Dałbym raczej tytuł: Bóg jest *jeden* w trzech Osobach! gdyż jedność Boga jest w pojęciu przed troitością osób — i dlatego daćby potrzeba wpierw pytanie: Ile jest Bogów? lub: Czy P. Bóg jest tylko jeden, czy jest ich więcej? a nie od razu zaczynać od pytania: ile jest osób! Wszak i we „Wierzę“ mamy naprzód „Credo *in unum Deum*“.

Pyt. 20. Dlaczego trzy Osoby Boskie są jednym i tym samym Bogiem? W odpowiedzi: dodałbym jeszcze słowo: „wspólnie“, bo mają wspólnie jednę i tę samą Boską istotę i naturę, czyli mają wspólne sobie jedno i to samo Bóstwo.

Paragr. III. O stworzeniu.

Pyt 23. Co znaczy stworzyć?

Stworzyć znaczy uczynić coś z niczego... Dla lepszej jasności i dokładności dodałbym: Stworzyć, znaczy: uczynić z niczego coś, co przedtem całkowicie i zupełnie nie istniało, żeby tak wyrazić pojęcie teologiczne: „*ex nihilo sui et subjecti*“.

Pyt. 25. Której Osobie przypisujemy stworzenie... jest bez wstępnych wiadomości za trudne!... Jakby już koniecznie, to raczej postawić pytanie najpierw: która Osoba Boska stworzyła?... a potem dopiero dodać jako objaśnienie: przypisujemy jednak stworzenie pierwszej Osobie dlatego etc.

Pyt. 26. Czy jest trzech Bogów? Czy to po polsku?... Może raczej: Czy jest więcej Bogów?... lub czy są trzy Bogi, lub trzej Bogowie?... Skąd ten przypadek drugi „trzech Bogów"... Przecież 2, 3, 4. nie mają przyp. drugiego, ale dopiero od 5.

Pyt. 24. Może lepiej: Czy Bóg jest tylko jeden, czy jest ich więcej?

Pyt. 25. Czem jest każda z trzech Osób Boskich, lepiej od razu powiedzieć: każda Osoba Boska jest Bogiem i to jednym i tym samym Bogiem.

W objaśnieniu zamało powiedziane: Trzy Osoby Boskie są jednym i tym samym Bogiem, bo mają *jednę tylko naturę!!*... I ludzie mają *tylko jednę* naturę, a nie są jednym człowiekiem! Trzebaby więc ***koniecznie*** jeszcze dodać: jednę i liczebnie tę samą, *wspólną* naturę!

Tyle co do projeku X. Krzanowskiego.

X. F. Cozel, T. J.

Czytelnie T. S. L.

Wielu rodaków naszych ulega po dziś dzień złudzeniu, że do szczęścia narodu nie trzeba niczego więcej, prócz oświaty. Zamykają oczy na historyę, ignorują zdania uczonych i wytrawnych mężów, a pragną forsować jedynie tę jednostronnie pojętą zasadę. I gdybyż przynajmniej nawoływali do oświaty prawdziwej, zgodnej z prawami Bożemi i urządzeniem celowem świata, nie przedstawiałby błąd ich żadnego niebezpieczeństwa, ale niestety, wyraz „oświata" pojmowany bywa jako wyzucie się z pod posłuszeństwa przykazaniom Bożym i wszelkiej religii, którą nazywa się mianem fanatyzmu i zacofania — i zwalcza się ją właśnie w imię oświaty w sposób gwałtowny i fanatyczny. Ubolewamy, że działalność tak ujemna wdarła się także do czytelń T. S. L.

Przedłożymy parę przykładów.

1) *Juliusz Słowacki.* Napisał Lambro. Lwów 1902. Nakładem Redakcyi „Promienia".

Już zewnętrzna postać tego dziełka wprowadzi w błąd prostego czytelnika. Umieszczono bowiem na stronie tytułowej okładki u góry portret..... Mickiewicza, niżej wyraz: Lambro, a potem: Juliusz Słowacki. Gdy zatem nieświadomy czytelnik weźmie do ręki tę książeczkę, będzie pewien, że portret przedstawia albo p. Lambro, albo Słowackiego. Ale sądzimy, że prosty lud nie poniesie szkody z tego dziełka, bo go nie zrozumie, tutaj chodzi o wskazanie jego tendencyi ujemnej tym osobom, którym na tem zależy.

Autor zaczyna pytaniem: Kto to był Juliusz Słowacki? Co napisał? Jak żył? Pytania te, z wyjątkiem drugiego, pozostają bez odpowiedzi. Nie znajdujemy wzmianki, kiedy się urodził Słowacki, kim był, jak żył, jedynie przy końcu umieszczono datę śmierci. Autor zajmuje się cytowaniem i objaśnianiem dzieł poety, co daje mu sposobność do wycieczek przeciw religii i pobożności i do szerzenia zasad na początku przytoczonych. Wspominając słowa poety: „Niech żywi nie tracą nadziei i przed narodem niosą oświaty kaganiec" — pisze: „Hasło to trwoży każdego przeciwnika polskiej sprawy, bo wie (sic!), że nie wtedy Polska będzie groźną, gdy będzie pobożną, albo gdy będzie bogatą, ale wtedy, gdy będzie oświeconą". (str. 7).

Objaśniając dzieło „Anhelli", w błędach przodków, które tam poeta przedstawia, widzi p. Lambro tylko „fanatyzm przekonań, barbarzyństwo w białej szacie Chrystusa i tragiczną ciemnotę, od której zbawić może chyba nie miecz, ale — przedewszystkiem jakiś oświaty kaganiec". (str. 11).

Trzeba być naprawdę zaślepionym, żeby zamilczać wszystkie błędy naszych dawniejszych urządzeń, a wszystko złe przypisywać jedynie „barbarzyństwu w białej szacie Chrystusa"!

To samo uprzedzenie musimy stwierdzić, gdy widzimy, jak p. Lambro omawia stosunek Słowackiego do papieża. „Giną w prześladowaniu owieczki. A gdzież pasterz? Rozlega się głos: do Rzymu! Do Rzymu ze skargą? Ba. Tam Grzegórz XVI. ogłasza konstytucyę: „Sollicitudo animarum", w której przez wzgląd na „dobro" Kościoła uznaje wszystkie rządy istniejące de facto, potem wydaje encyklikę do biskupów polskich, zabraniając im wszelkiego mieszania się do spraw politycznych, a dla wyjaśnienia, o jaką mu politykę chodzi, wydaje list do cesarza Mikołaja I. tej treści, że Słowacki miał prawo krzyknąć do Matki Makrymy o Rzymie"... Na te złośliwe zarzuty trzeba odpowiedzieć prostem przysłowiem: Vana sine viribus ira! Cóż miał bezbronny papież uczynić wobec potężnego cara? Czy usłuchałby Go kto, gdyby nawet krucyatę ogłosił na Moskali? Nic więc dziwnego, że obrał drogę jedyną, jaka została, drogę perswazyi i ojcowskiego ubolewania.

Co się zaś tyczy stanowiska Ojca świętego w sprawie powstania i wymienionej encykliki, powołam się na to, co pisał już „Dwutygodnik" w nrach 9 i 10 z r. 1908. Wykazano tam, że powodem były relacye i pogróżki dworu petersburskiego, i że ze strony Polaków nikt wtedy nie zadał sobie trudu, aby Papieża informować. Podniósł to sam Grzegórz XVI. w rozmowie z jenerałem Zamoyskim: „Nie wiedziałem zrazu, o co wam chodzi, to prawda, ale czyście wy sami starali się o to w czasie wojny, aby mnie oświecić?"

Łatwo sobie wyobrazić, że w chwili nieszczęść narodowych umysły były podniecone i że szukano winowajców i sądzono dorywczo, a sądy krzywdzące dostawały się do druku i zatruwały serca i dusze goryczą i zniechęceniem. Stracił Mickiewicz trzeźwość sądu, brakło jej także Słowackiemu, ale stąd przecież nie wynika, aby papież był wrogiem Polski i żeby trzymał z mocniejszymi, owszem, w wymienionych artykułach „Dwutygodnika“ można się zapoznać z zabiegami Rzymu za naszą sprawą i z troską Ojca świętego, gdy poznał właściwy stan rzeczy.

Niesłusznem zatem jest oskarżanie Papieży i zniechęcanie czytelników do Najwyższej Władzy w Kościele.

2) *Matka*, powieść z życia ludu. Napisał Sewer. Kraków 1898.

Bohaterowie wiejscy Sewera podobni są do rzeźb domorosłego artysty. Takie to wszystko jakieś kanciaste, surowe, chorobliwie czułe — i psychologicznie nieprawdziwe! Ktoby chciał lud wiejski poznać z dzieł Sewera, ten pewnie nabierze doń uprzedzenia, niesmaku, a może i obrzydzenia. Kto kiedy słyszał na wsi, żeby matka mówiła do dziecka: „No, daj pyska“, albo „uściskaj chłopaków od ojca“, „chociażbyś się wściekła, nie dam więcej“, i t. p.

Treść „Matki“ prosta. Matka dwóch chłopaków, Porębskich, o chłodzie i głodzie bieduje latami całemi, byle synów wykształcić. Ten jej szlachetny zapał gasi uosobienie wszelkich złych instynktów, historyczny „jegomość“, proboszcz parafii, rozumie się daremnie, bo Porębska, cięta kobieta, nie da się sprowadzić z obranej drogi. Raz taką rozmowę prowadzi z synem:

— „Idziesz do jegomości, bądźże dla niego przychlebny, pocałuj go w rękę, powiedz mu, że pójdziesz na księdza, świadcz, jak ino umiesz. Cosik jegomość nie łaskaw na nas, *boję się, żeby nie buntował ojca.*

— Dlaczego, matusiu?

— Zły jest, że was dwóch posłałam do szkoły.

— Cóż to jegomości szkodzi?

— Chciał, żeby jeden został przy ojcu, bo dwóch księżami być nie może“ (str. 67).

Gdyby nawet jegomość „buntujący ojca“ był typem prawdziwym, to obowiązkiem matki, względnie autora, było postępować szlachetniej. Należało powiedzieć chłopcu: Nie chodź do jegomości, nie przychlebiaj się, nie udawaj szacunku, którego w sercu nie czujesz. Że autor tak fabułą nie pokierował, nie można mu poczytać za zaletę.

Demoniczny „jegomość“, nie poprzestając na „buntowaniu ojca“, posuwa się w niechęci aż do obmawiania publicznie energicznej matki.

„Jegomość, gdy się dowiedział o pożyczce Porębskiej, przepowiadał:

— Zobaczycie, że przyjdzie jeszcze o żebraczym kiju pod kościół. Babę opanowała pycha, żeby synów mieć urzędnikami, a pychę Pan Bóg karze.

— A niech pójdę, gdy swoje zrobię — odpowiadała Porębska organiście, który jej przepowiednie jegomości powtórzył. Kruchta nie kryminał....." (str. 152).

Jak niemiło czytać coś podobnego! I taką lekturą ma się karmić lud wiejski, zatruwać swój zdrowy rozum i uczyć się pogardzać stanem, dla którego dotąd miał cześć i poszanowanie! Autor „Biedroniów" i „Matki" nie umie się zdobyć na tyle bezstronności, żeby może za jakie osobiste urazy nie rzucać kamieniem potępienia na stan cały.

Sprawiedliwość jednak każe przyznać, że w następnem dziełku swojem pominął autor jegomościa. Czy się to stało umyślnie, czy przez zapomnienie, nie silimy się odgadywać; uwagę swoją poświęcił natomiast typom ludowym. Jest to:

3) *„Dla świętej ziemi"*, sztuka w 4 aktach. Sewer. Lwów 1898.

Niewiadomo, kiedy Sewer i gdzie pisał tę sztukę, to pewna, że ani typów ludowych nie oddał zgodnie z prawdą, ani charakterystyki ich nie przeprowadził logicznie, ani też stosunków trafnie nie uchwycił. Kto mieszka wśród ludu, wie, że chłop teraz nie idzie zarobku szukać „gdzieś", w jakiemś nieokreślonem miejscu, za poradą żyda, tylko wybiera się do Ameryki, na Węgry, ku Tarnowu, albo do Prus. Dalej, niema już teraz takiej wsi, żeby nie było w niej wstrzemięźliwszych ludzi, a tem mniej jest pijących wódkę. Stosunki przedstawione przez Sewera są anachronizmem z przed lat pięćdziesięciu. Aż wstręt bierze człowieka, ile ci chłopi wódki wypiją! Scena zaczyna się w karczmie, gdzie piją dziewki, baby, parobcy, chłopi, przysiężni posłani przez wójta celem rozpędzenia muzyki, muzykanci i nawet sam żyd Mordko. Dziewki jawnie kokietutą parobków, pomagają im kobiety, klną, kłócą się i przezywają i wytwarza się atmosfera niesmaczna i szkodliwa. Pamiętajmy, że exempla trahunt. Biedni czytelnicy tej sztuki, bodaj czy z tych śmieci wygrzebią dla siebie jakie zdrowe ziarnko. Jedynie rola żyda-kusiciela, Mordka, przedstawiona jest trafnie. Takimi byli karczmarze dawniej i teraz się nie zmienili. Na pijaństwie ludu, kradzieży i niemoralności porobili majątki; nie należy jednak przez ujemne sztuki i powieści naganiać im nowych ofiar w zdradliwe sieci.

Obok tych szkodliwych dziełek przeglądnąłem innych 17 i stwierdzam, że nietylko nic im zarzucić nie można, ale trzeba podnieść i staranność i dobrą wolę autorów. Pożytek z takiej lektury będzie. Kto nie miał sposobności chodzić do szkoły, przez czytanie może

nabyć wiedzy w sposób nietrudny. Na szczególną wzmiankę zasługuje książka: „*Dzieje Polski*“ Juliana *Baczyńskiego*, Poznań 1904, 2 tomy. Jest to rzecz napisana tak zajmująco, że postawić ją można jedynie obok powieści historycznych Kraszewskiego, a mimo to ścisłość dat, przebieg spraw, całość polityki kraju nic na tem nie ucierpiały. Są jednak w niej wyrażenia, o których niewiadomo co sądzić. Gdy na przykład autor daje przydomek królowi „zagorzały katolik“, to skłonni jesteśmy brać to w znaczeniu ujemnem. W II. tomie na str. 19 pisze autor, że w czasie wyboru króla dokuczano ubogiej szlachcie, wołając:

— Hej, sitarze, bierzcie po 2 grosze dziennie, głosujcie prędzej! A w dopisku czytamy uwagę: „Taki żołd dawało jej stronnictwo katolickie“.

Również niepotrzebnie przytacza autor przemówienie apostaty ks. Orzechowskiego i jego słowa, napisane do papieża. Uczynił to może autor dla ścisłości, ale takie usterki szkodzą całości dzieła, bo wiemy, że wszystko złe łatwiej się przyjmuje, niż dobre. *X. B. Łaciak.*

Pod adresem wydawców katechizmu salzburskiego.

Nie mało życzeń mają katecheci odnośnie do katechizmu w ogóle, a salzburskiego w szczególności. Ale jedno szczególnie. Niechże się nie zmienia i to na gorsze w nowszych wydaniach! Weźmy np. pytanie 372 w katechizmie wielkim z r. 1899 Odpowiedź na nie brzmi: „Oddawanie czci aniołom i świętym Pańskim nie jest rzeczą przeciwną pierwszemu przykazaniu Boskiemu, gdyż my ich nie uwielbiamy tak jak Boga; owszem aniołów i świętych czcić i wzywać jest rzeczą dobrą i pożyteczną“.

Ta sama odpowiedź w wydaniu z r. 1907 opiewa:

„Oddawanie czci aniołom i świętym Pańskim nie sprzeciwia się pierwszemu przykazaniu, gdyż im nie oddajemy czci Boskiej, czcić zaś aniołów i świętych oraz wzywać ich na pomoc jest rzeczą dobrą i pożyteczną“.

A więc spójnik „owszem“ zamieniono na „zaś“, przez co zdanie końcowe zostało pozbawione związku z głównem, a po części i sensu. Albo inny przykład: W wydaniach starszych tego katechizmu użyto wyrażenia łaska posiłkowa. Od biedy mogłoby to pozostać, choć lepiej nazywać tę łaskę uczynkową, gdyż ten przymiotnik łatwiej dzieciom objaśnić i zapamiętać.

W wydaniu z r. 1907 ta sama łaska nazywa się już inaczej, mianowicie „posiłkującą“. Dlaczego? Przecież ten wyraz dla dzieci,

szczególnie z ludu, jest obcy, nieużywany w potocznej mowie. Bardzo łatwo przez przesłyszenie się mieszają go dzieci z przymiotnikiem „posikujący“, który w sferach dziecinnych jest więcej znany i spotykany, ale nie jako epiteton ornans.

Piszący te uwagi miał właśnie nieszczęście doznać tego qui pro quo w jednej szkółce wiejskiej. Po wyjaśnieniu znaczenia łaski i różnicy między łaską poświęcającą a „posiłkującą“ według tekstu katechizmu, odpytywałem dzieci. Jedna z dziewczynek, nawet stosunkowo dość inteligentna, a było to w szkole mieszanej, odpowiada mi: łaska „posikująca“ zamiast posiłkująca! Odtąd strzegę się tego wyrażenia jak ognia i dziwię się, że się wydawcy katechizmu, którzy przecież winni być wytrawnymi katechetami, w podobny sposób niepotrzebnie znowu ten wyraz wprowadzają.

Przecież trzeba się liczyć z językiem ludu i używać wyrazów jak najprostszych i najzrozumialszych.

Przez te ciągłe zmiany tekstu katechizmowego otrzymujemy zresztą tyle różnych katechizmów, ile wydań, a tak zostaje zwichnięta myśl, jaka kierowała Episkopatem przy wprowadzaniu katechizmu salzburskiego. *X.*

Refleksye z podróży po Palestynie.

Tabor — Naïm — Djénin.

Kanna. Wycieczka na Tabor Szpital Braci miłosierdzia. Płaskowzgórze, skąd widok na Tabor. Khirbet et Tireh. Aïn Mahel. Miasteczko Dabereth. Osobliwości Taboru: Miejsce przemienienia. Trzy kaplice w ruinach. Groby żydowskie. Śniadanie u OO. Franciszkanów. Znajomość z X. Dąbrowskim. Naïm i jego pamiątki. Djenin.

Po krótkim odpoczynku w Nazarecie ruszyliśmy w dalszą podróż. Plan jej opiewał: Tabor—Jeruzalem! Kosztowała ona nas wiele trudów wobec drogi górzystej, najeżonej skałami, braku wody i wielkiego nieraz żaru słońca. Te trudy zaś były obliczone na trzy lub cztery dni.

Dla mnie specyalnie straszną się wydawała obecna podróż już z tego względu, że mieliśmy ją odbyć na wierzchowcach. Tego rodzaju zaś jazda była mi dotąd nieznaną, przeszedłem w prawdzie próby w tym kierunku w kraju, lecz zakończyły się upadkiem z konia i zwichnięciem ręki.

Jednak konieczność zmusza człowieka do oswojenia się z każdą trudnością. Tak było i ze mną. Pożegnawszy się z OO. Franciszkanami, zeszliśmy przez dziedziniec klasztoru na plac, ścielący się u stóp jego.

Czekał już na nas przewodnik; stały również trzy konie, przeznaczone do jazdy dla nas.

Mnie ofiarowano silnego rumaka. araba, o czarnej maści; podziękowałem jednak za niego, za poradą braciszka klasztoru, miał być bowiem znarowiony.

Dosiadłem natomiast siwka, mniej okazałego i starszego już wiekiem, ale za to spokojnego i łagodnego konia.

Jazda szła mi z początku opornie, ale później dość raźnie; była jednak nużąca z powodu niewygodnego siodła arabskiego.

Słońce zaczęło rzucać swe ożywcze promienie; humor był nie zły, a ufność napełniała nasze serca, że się podróż uda.

Jechaliśmy z początku torem, prowadzącym do Tyberyady; dopiero od szpitala Braci miłosierdzia, który pozostawiliśmy po lewicy, zaczęliśmy się piąć w górę. Po kwadransie prawie jazdy stanęliśmy na wyniosłej płaszczyźnie, skąd ukazał się nam Tabor w całej swej wspaniałości. Minęliśmy jeszcze miejscowości, jak Khirbet et Tireh, Ain Mähel, poczem w niespełna godzinę przybyliśmy do stóp Taboru. Po jego stronie północno-zachodniej ściele się u jego stóp małe miasteczko Dabereth. Pamiętne jest ono tem, że tu miał Chrystus, według tradycyi, zostawić dziesięciu apostołów, a z trzema, św. Piotrem, Jakubem i Janem udał się na szczyt góry, by w swem Przemienieniu ukazać im swój Boski majestat i utwierdzić ich we wierze w Swą godność mesyańską.

Podjechawszy do podnóża góry, zwanej świętą przez św. Piotra (II., 1, 18.), zostawiliśmy konie nasze u dołu, a sami wspinaliśmy się na szczyt Taboru. Góra ta wznosi się 602 m. nad poziom morza Śródziemnego, a 500 m. nad poziom doliny Ezdrelon.

Św. Mateusz (17, 1) zwie Tabor (ten najprawdopodobniej był widownią Przemienienia Pańskiego) górą wysoką, jaką się rzeczywiście wydaje, będąc odosobnioną od innych gór i wystrzelając niejako z równiny, wyżej wymienionej.

Ma kształt piramidy spłaszczonej. Stoki jego pokryte są skarłowaciałymi dębami, wśród których wije się droga, prowadząca zygzakiem na szczyt. Ten przedstawia powierzchnię owalną do połowy, od strony południowej zasianą ruinami, gruzami dawnych warowni z czasów królów izraelskich i z późniejszej epoki najazdu Arabów, tudzież smutnemi szczątkami bazyliki, oraz trzech kaplic, wzniesionych na pamiątkę żądanych przez św. Piotra trzech namiotów: dla Chrystusa, Mojżesza i Eliasza.

Pierwotnie miały tu być trzy kościoły, które wskutek częstych napadów na Tabor zostały zniszczone. Walczyli bowiem na tym terenie przeciw żydom Syryjczycy, Egipcyanie, Rzymianie i Saraceni; po nich przybyli Krzyżowcy, by z rąk tych ostatnich wydrzeć Ziemię św. Zastali oni pustkowie. Ci zbudowali kościół, poświęcony Zbawicielowi i klasztor, w którym osiedli OO. Benedyktyni.

Z tego kościoła (rodzaj bazyliki) sterczą dotąd ruiny. Rozpoznać można główną nawę, presbyteryum, oraz menzę ołtarza. To miejsce miało być widownią Przemienienia Pańskiego. Obok pokazują ruiny trzech kaplic.

Cała ta płaszczyzna, na Taborze jakby rozłożona, pamiętna Przemienieniem Chrystusa, jest bardzo piękną. Za mego pobytu oświetlona pękiem światła słonecznego, wyglądała czarująco; spokój panował w powietrzu. Czułem tu Chrystusa, roztaczającego swój majestat Boski. Mnie było tu błogo, a cóż dopiero mówić o apostołach owych trzech, którzy patrzyli na chwałę swego Mistrza. Nic dziwnego, że wyrwały

się św. Piotrowi słowa: „Mistrzu, dobrze nam tu być, jeźli chcesz, uczynimy trzy przybytki: jeden Tobie, a jeden Mojżeszowi i jeden Eliaszowi“. (Mat. 17, 4).

Miejscu dodaje powabu wspaniała panorama, która się stąd rozpościera.

Wzrok pada na całą prawie stąd widną Galileę i pasma jej gór, doliny i równiny i błękitny skrawek jeziora.

W głębi widnokręgu, na północ poza górami Safedskiemi, wyłania się biały grzbiet Libanu i szczyt Hermonu. Na wschód widnieją góry Dżaulańskie (Gaulonitis), ciągnące się długą, nieruchomą linią, nad której poziom tu i ówdzie wyższy jakiś szczyt wystrzela. Jeszcze dalej na wschód widnieją szarawo-błękitne góry Arabii skalistej i Wielkiej pustyni. Tu bliżej dolina Jordanu głęboko się wydrąża, odkrywając od strony wschodniej dzikie wąwozy, któremi toczą się dopływy rzek: Hieromaksu, Zerki i Arnonu, a od wschodu ciągną się wielkie kotliny Wadi Birey i Adżlim, opuszczające się z płaskowzgórza Ezdrelońskiego. Na południe znów strzelają w górę płaskowzgórza Moabskie, górujące nad morzem Martwem.

Ku zachodowi odrzynają się ostre pasma gór Judzkich, jednostajne wyżyny Samaryi i długi wał Karmelu, zamykający równinę Meggido.

Oko szuka morza Śródziemnego; wreszcie przez małą przerwę w paśmie Karmelu i przez wazką szczelinę gór Nazaretańskich odkrywa je jakby plamkę lazurową na jasnem tle nieba. Uczucie ogromnych przestworów, za tą plamką ukrytych, dopełnia wspaniałości tego niezmierzonego widnokręgu.

Napatrzywszy się przepięknej panoramie, poszedłem z towarzyszami podróży na oglądanie grobowców żydowskich. Stanowiły one z początku jaskinie dla pustelników, którzy prowadzili życie anachoretów; życiem umartwionem starali się zapracować sobie na chwałę, której świadkami byli tu niegdyś trzej apostołowie.

Oprowadzał nas po tych grobach X. Wincenty Dąbrowski, Kaszub rodem, przebywający w tutejszej rezydencyi franciszkańskiej. Miły to staruszek, około 80 lat mający, z twarzą pogodną i ujmującą. Tęskni on tu zawsze za swą polską ojczyzną; radował się, że nas Polaków zobaczył i że mógł swe uczucia wypowiedzieć w mowie polskiej. Błogosławiąc nas i obdarowując obrazkami i krzyżykiem, prosił o przesyłanie mu od czasu do czasu gazet polskich.

Cenił sobie ten staruszek język polski, którym dobrze władał, jakby ojczystym. Cieszył się, gdy jego dźwięki posłyszał. Tak to ocenia się wartość swego języka na obczyźnie.

To zaś szanowanie swego języka stanowi cechę szlachetności w człowieku, podczas gdy poniewieranie nim świadczy o dzikości i przewrotności charakteru. Słusznie mówi w tej sprawie Karol Libelt: „Ci, co obojętni są na język ojczysty, są jak poganie obojętni na światło ewangeliczne; ci zaś, co poganiają i poniewierają nim, a nawet zatracają go w dzieciach swych, są jak okrutni prześladowcy pierwszych wieków, co w zaślepieniu krew wyznawców prawdziwej wiary przelewali, a stokroć bardziej zaślepieni niż tamci, bo na sobie i na własnem potomstwie dokonywują tego prześladowania“.

Jeszcze wpadliśmy do rezydencyi OO. Franciszkanów, zjedliśmy szybko śniadanie i pożegnali ich i to pamiątkowe miejsce. U dołu czekały na nas konie i poniosły w dalsze strony. Jazda była wprawdzie uciążliwą, ale o tyle miłą, że co trochę przesuwały się historyczne miejsca biblijne, odgrywające w dziejach Ziemi św. główną rolę. Nie można ich było jednak bliżej zbadać, gdyż czas jazdy obliczony był na trzy dni; każdy postój byłby nas naraził na wielkie koszta pieniężne, a i na niebezpieczeństwo ze strony tubylczej, nie mówiąc już o braku schronienia i żywności.

W czterech tylko miejscach wśród naszej, $3^1/_2$ dnia trwającej podróży, stanęliśmy na krótki czas, by odpocząć po trudach. Temi są: Naïm, Djenin (Engaunim), Naboulous (Sichem) i Djifneh (Gophna).

Krótką tylko wzmiankę o nich przytoczę, gdyż chciałbym dłużej się rozpisać o Jerozolimie, mieście, tak ważną odgrywającem rolę w planach Bożych; także i X. Redaktor zmusza mię do szybszych kroków w opisie mej podróży. Trudno jednak połączyć ścisłość opowiadania z krótkiem przedstawieniem rzeczy. — Ano spróbuję!

Po wspaniałym Taborze, świadku Chrystusa, wstąpiliśmy na dosyć wysoką płaszczyznę, na której wznosi się Naïm (przyjemne miejsce), w którem Chrystus okazał swą Boską potęgę, pobudzając do życia młodzieńca zmarłego. Na miejscu cudu stoi kościół katolicki. Wstąpiliśmy do niego. Robi miłe wrażenie. Zdaje mi się, że w wielkim ołtarzu jest obraz przedstawiający Chrystusa, odpuszczającego grzechy Magdalenie.

W tem bowiem miasteczku miała Magdalena szczęście dostać odpuszczenie swych grzechów ze strony Chrystusa. Tak twierdzą Origenes, Theophylakt, Enthumiusz, a w nowszych czasach Estiusz, Tillemant i inni.

Na ścianie zaś nawy ujrzałem obraz wielkich rozmiarów, przedstawiający wskrzeszenie młodzieńca przez Chrystusa.

Niedaleko od miasta, po stronie południowo-wschodniej są wyciosane w skale groby, tchnące starożytnością, prawdopodobnie owe, w których stronę kierował się kondukt żałobny z młodzieńcem na marach, za któremi postępowała stroskana jego matka. Pokrzepieni widokiem Naïm, oraz podniesieni tym szlachetnym rysem Chrystusa, który ujawnił w miłosierdziu, jakie owej matce wyświadczył, podążyliśmy dalej w drogę. Jechaliśmy doliną Esdrelon, wśród pól i skał w dali widniejących.

Minęliśmy Endor, Sunam (sławne wzbudzeniem do życia syna Sunamitki przez proroka Elizeusza), Zerin, dawniejsze Jezrael, miejscowość el Mougabeleh i wieczorem dobiliśmy do Djenin.

Ks. Dr. Stanisław Dutkiewicz.

RECENZYE.

Die Freiheit der Wissenschaft. Ein Gang durch das moderne Geistesleben von Dr. Josef Donat S. J., Professor an der Universität Innsbruck. Innsbruck, Felizian Rauch, 1910. XII. 494 S.

Pod tym tytułem zaczął profesor Dr. Donat wykłady w półroczu letniem 1908 na wydziale teologicznym w Insbrucku. Niestety rozruchy, jakie wtedy panowały na uniwersytetach niemieckich w Austryi, a zwłaszcza w Insbrucku z powodu sprawy Wahrmunda pod hasłem „wolności wiedzy“ i wysokie podniecenie umysłów nie pozwoliły Czcig. Autorowi dokończyć swych wykładów, wydał je więc obecnie w formie dzieła.

Niepodobna w krótkiej recenzyi podać dokładniej treści tej ciekawej książki. W pięciu częściach porusza Autor i rozwiązuje z punktu historycznego, filozoficznego i teologicznego prawie wszystkie kwestye, jakie wyłoniły się w tej walce umysłów, jaką z powodu sprawy Wahrmunda mieliśmy w r. 1908. W pierwszej części „Die Freiheit der Wissenschaft und ihre philosophischen Voraussetzungen“ rozstrzyga Autor takie kwestye, jak: „Wolność i wiedza“, „Dwa światopoglądy“, „Subjektywizm i jego wolność“. Następne części: II. „Freiheit der Forschung und Glaube“, III. „Die liberale Freiheit der Forschung“, IV. „Die Freiheit der Lehre“, V. „Die Theologie“ poruszają tyle zagadnień o stosunku wiedzy do rozumu, o posłuszeństwie wiary i wolności badania, o stosunku wolności nauczania do etyki i państwa, o stosunku teologii do wiedzy i uniwersytetu i rozwiązują je w sposób tak naukowy, że zasługują na uwagę każdego myślącego człowieka, który nie jest obojętny na te zagadnienia, obchodzące tak żywo obecne społeczeństwa, zarażone w wielkiej części subjektywizmem, racyonalizmem i indyferentyzmem. Zwłaszcza dla młodzieży uniwersyteckiej czy starszej gimnazyalnej książka ta ogromne może oddać usługi, bo rozwiązuje zagadnienia, które tę młodzież żywo obchodzą, bo daje odpowiedzi na zarzuty podniesione przeciwko religii i Kościołowi w imię świętej dla niej „wolności wiedzy“. Kto zna dzisiejszą naszą młodzież, kto zna prądy, jakie wsród niej nurtują, dzieła, jakie czyta, przyjaciół, jakich ma, a z drugiej strony brak prawie zupełny literatury apologetycznej, ten pojmie potrzebę tego dzieła i dla naszego kraju i społeczeństwa; z tego powodu zasługuje ono na jak najszybsze przetłómaczenie. Przeprowadzenie jest spokojne i rzeczowe, ostra polemika była daleką autorowi, w czem się różni od dzieła Petersa: „Klerikale Weltanschauung und Freie Forschung“ (419 S. Wien 1908). Autor w całej pracy kierował się duchową niezależnością, którą daje tylko prawdziwa wolność myślenia, choć i nie brak czasem surowych słów przestrogi, — zwłaszcza, gdzie idzie o honor wiedzy lub zachowanie najwyższych ideałów ludzkości. Forma zewnętrzna i cena nie pozostawiają także nic do życzenia; szkoda tylko, że Autor nie umieścił spisu rzeczowego. Jeżeli więc gdzie, to tutaj można z całą słusznością powiedzieć: Tolle, lege!

Ks. J. Lubelski.

MISCELLANEA.

Rzekomy ucisk „wolnej myśli" w Hiszpanii oświetla słynny historyk sztuki, *Meier Graefe*. Zwiedziwszy „wolną szkołę" i zbadawszy tendencye nauki, pisze: „Włosy mi stanęły na głowie, gdy to wszystko usłyszałem. U nas by takich ludzi po prostu zamknięto, tu mają katedry na uniwersytetach i otrzymują od państwa stypendya na podróż za granicę". Przytacza też zdanie liberała Gasseta, że „opowiadania o zawisłości od czarnych i o niewoli ducha w Hiszpanii są szwindlem". Państwo wkroczyło dopiero wówczas, gdy się polała krew niewinna.

Idea stronnictwa katolickiego, polityczno-społecznego, zyskuje w Kongresówce coraz więcej miru po dyskusyi wszczętej przez hr. Rogera Łubieńskiego i przeprowadzonej na łamach Dziennika Powszechnego. Celem jego mają być nie wybory do Dumy, lecz ochronienie duszy polskiej przed zatruciem pseudo-postępowem.

Strejk parafian miał według *Ostdeutsche Rundschau* itp. wybuchnąć w Grottacalda w głębi Sycylii, bo proboszcz nie przyłączył się do demonstracyj za Ferrerem. Tymczasem arc. Sualdi z Palerno wyjaśnia, że na całej Sycylii niema parafii Grottacalda. Zmyślono wszystko!!

Kuryer lubelski rozgłosił, że młodzież szkoły podlaskiej w Siedlcach prowadzi dysputy z prefektem, ks. Potrowskim, uderzając na naukę o stworzeniu. W rzeczywistości właśnie tam stosunki między katechetą a młodzieżą są jak najlepsze. Tak katecheta, jak młodzież od siebie ze zbiorowymi podpisami wysłali do redakcyi sprostowanie, ale Kuryer o sprostowaniu ani nie wspomniał. Oto etyka „postępowa"! (Dz. Powszechny, 24/10. n. 292.).

Wiadomości dyecezalne.

Lwów. *Zmarł.* ks. *Próchnicki* Edward w Brzeżanach w 51. r. ż. a 26. r. kapł. R. i. p.!

Kraków *Mian.* ks. *Fitak* Franciszek adm. paraf. św. Salwatora na Zwierzyńcu. — *Zmarł* ks. *Schwarc* Romuald prob. u św. Salwatora na Zwierzyńcu w 66. r. ż. a 42. r. kapł. R. i. p.!

Przemyśl. *Inst.* na prob. w Brzyskach ks. *Hołowiński* Jan. — *Mian.* ks. *Kielar* Gerard adm. w Samborze, ks. *Cyprys* Jan katech. szk. 5 kl. żeń. w Leżajsku, ks. *Michałowski* Bronisław adm. w Chłopicach, ks. *Pelczarski* Jan zast. katech. w szk. 5 kl. lud. w Starym Samborze. — *Konkurs* na prob. w Samborze i Chłopicach do 15. stycznia.

Tarnów. *Mian.* ks. *Krzemieniecki* Stanisław katech. szk. 5 kl. m. w Dębicy. — *Przen.* ks. *Całka* Alojzy z Bobowej do Łączek Kucharskich, ks. *Gutfiński* Franciszek z Łączek Kuch. do Krościenka nad Dunajcem, ks. *Wieczorek* Paweł z Krościenka do Bolesławia, ks. *Harbut* Bartłomiej z Bolesławia do Gumnisk Fox (adm.), ks. *Krawczyk* Michał z Zassowa do Wadowic górnych, ks. *Grodniewski* Stanisław z Wadowic górnych do Radomyśla Wielkiego, ks. *Bartoszewski* Andrzej z Królówki do Wojakowej. — *Zmarł* ks. *Kalicki* Stanisław w Radomyślu W. w 33. r. ż. a 8. r. kapł. R. i. p.!

Redaktor odpow. Ks. Walenty Gadowski. — Drukiem J. Pisza w Tarnowie.